

POLSKI W ŚWIECIE

str. 4—5

BRON KAMPANII WRZEŚNIOWEJ

Andrzej Konstankiewicz Bohdan Królikowski
str. 3

WIERSZE JANUSZA OLCZAKA SŁAWOMIRA GOŁASZEWSKIEGO I MARII BALLOD

str. 7

DZIENNIK AMERYKAŃSKI

I am Polak

Ireneusz J. Kamiński

str. 5

Kammena

LUBLIN 31 VIII 1980 NR 18 (712)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

NA MARGINESIE FILMU „WYROK ŚMIERCI”

Jak filmować historie?

W rozważaniach na temat prawdy historycznej w filmie biorą udział: Witold Orzechowski — reżyser nowego polskiego filmu „Wyrok śmierci”, doc. dr Zygmunt Mańkowski — kierownik Zakładu Historii Najnowszej w Instytucie Historii UMCS w Lublinie, autor wydanej niedawno książki „Między Wisłą a Bugiem. 1939-1944”, który był — wraz z prof. Franciszkiem Ryszką — konsultantem historycznym „Wyroku śmierci”, prof. Józef Szymański — kierownik Zakładu Nauk Pomocniczych tegoż Instytutu oraz red. Mirosław Derecki.

Mirosław Derecki: — W pierwszych dniach września wejdzie na ekrany nowy polski film „Wyrok śmierci” Witolda Orzechowskiego. Jego akcja dzieje się w latach ostatniej wojny w Zamościu i w Lublinie, treść wiąże się m.in. ze sprawą pacyfikacji Zamojszczyzny, idea stworzenia na tamtych terenach „państwa SS” ze stolicą Zamościem — Himmlerstadtem; wreszcie — mamy pokazany w „Wyroku śmierci” na szeroka skalę i prężnie działający polski ruch oporu. Orzechowski buduje fikcyjny wątek młodego podchorążego AK, członka grupy dywersyjnej, która wykonuje wyroki śmierci na funkcjonariuszach SS i Gestapo, a także na polskich konfidentach. Smukły — bo tak brzmi pseudonim głównego bohatera filmu — człowiek młody, inteligentny, wrażliwy, wykonujący swoje konspiracyjne zadania, swój „patriotyczny obowiązek”, znajduje się pod wciąż narastającą presją otaczającego go koszmaru. Mówił o tym reżyser w jednym z wywiadów: „Aby ocalić tożsamość narodową i nie ulec represji niemieckiej, Ruch Oporu musiał likwidować także konfidentów, drobnych donosicieli. Bolesne to, ale konieczne. Często nie miało to nic wspólnego z heroizmem. Chciałem przed-

stawić bohatera uwikłanego w dwuznaczną sytuację, w której trzeba było przekroczyć pewne bariery i zasady. Trzeba było zabijać przerażonych ludzi, nie — umundurowaną kukłę, jak na strzelnicy. To trudniejsze. Wroga trzeba było poznać, żeby go zastrzelić. Takie były realia walki podziemnej na prowincji, a nie bohaterski zryw Powstania. Pozostawało marzenie o jakiejś większej akcji, niemożliwe do zrealizowania pragnienie walki wojskowej twarzą w twarz. W ten sposób film nie tyle polemizuje, co raczej kontynuuje dyskusję z wielkim tematem narodowym, z tradycją (filmową) *szkoty polskiej*...”

Zapraszając panów do dyskusji na temat prawdy historycznej w filmie, nie miałem, oczywiście, na myśli tylko „Wyroku śmierci”, który właśnie przed chwilą wspólnie obejrzelśmy. Bezspornie, interesujące są dla nas jego „lubelskie” realia, ale przecież nie o to głównie chodzi. Choć fakt, że my wszyscy tutaj obecni znamy owe realia bardzo dobrze, często z autopsji, na pewno

Dokończenie na str. 6—7



Pomnik Bohaterów Westerplatte
Fot. CAF

Kawał świata utonął

Bronisław Kowalski

Im bliżej Sanu, tym mniej ziemi ocalonej. Jeszcze w samej Sieniawie uratowały się ogrody kwiatowe; ani ulewy ani powódź nie zmyły wysoko wyrastających małych floksów bombiastych i rozcapierzonych róż. Ale tam dalej, za domami, woda zakryła zwłokę zboża, pola kartoflane — tak!

Ponury to i ohydny żywioł. Obrzyd-

liwa kłęska, zabierająca człowiekowi chleb, domy, zwierzęta, ziemię, wodę do picia — wszystko Zabierająca siły, wolę, wiarę. Co może zrobić człowiek w samym środku powodzi? Nic. Czekać. Może się bronić, gdy nadchodzi, przywracać poprzedni wygląd świata, gdy mija, ale ze zduszoną rozpaczą, której się prawie nie czuje, bo przeciw komu ją zwracać, z zawzię-

tością i bezradnie musi czekać, aż woda sama spłynie.

Widziałem w Przemyślu rewelacyjną pompę szwedzką, która potrafi kilkaset litrów wody zdmuchnąć w jednej chwili, przepuścić przez maszynę i wypluć dalej z bagna, nie zatykając się i nie krztusząc. Ale i tysiąc takich pomp ziemi nie uratuje, bo gdzie przepompować wodę z łąk, z pól, z dolin,

z ulic miast, z mieszkań? Dokąd ją wylać — do rzek, które przelewały się wysoko, a potem jeszcze wyżej?

Dlatego ocalałe w Sieniawie ogrody wyglądały niczym wybryk natury.

Nie można opisać krajobrazu w czas zatopienia, gdyż krajobrazu nie ma. Rozlewisko, topiel, jezioro — nie oddają te słowa widoku ziemi, zalanej czymś brunatnym, rozprzestrzenionym, posuwającym się niezmiennie już nie w kierunku splotu, ale wszędzie, bo wchodzącym zrazu do każdej niecki, dolinki, zagłębienia, a potem pokrywającym równo cały świat. To coś ma bury kolor, obrzyna siłę i gówniano śmierdzi. Nazywają to powodzią.

Dokończenie na str. 6—7

z notatnika

25 VIII. Piszę te słowa w poniedziałek wieczorem. Życie nabrało ostatnio tempa, a druga strona „Kamery” zarezerwowana jest zwykle na sprawy bieżące.

Dzisiejsza prasa przyniosła informacje o wczorajszym IV Plenum Komitetu Centralnego PZPR. Znane są decyzje personalne, a także końcowe przemówienie I sekretarza KC PZPR, Edwarda Gierka.

„Dokonujemy — stwierdził mowca — zasadniczego zwrotu w polityce partii i państwa, dostosowujemy ją do realiów dnia dzisiejszego. [...] Podjęte już zobowiązania dotyczące warunków życia i pracy załóg muszą zostać wykonane, choć nie będzie to łatwe. Wymagać to będzie przebudowy planów gospodarczych na najbliższy okres. Pójdziemy dalej w ograniczeniu inwestycji i zmianach strukturze produkcji pod kątem zaspokojenia pilnych potrzeb społecznych. Wespół ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym podejmujemy kroki w celu pobudzenia i zwiększenia produkcji rolnej. Pełny i szczegółowy program obejmujący również istotne reformy systemu zarządzania gospodarką narodową opracuje i przedstawi rząd. Projekt takiego programu, uwzględniający opinie i odczucia społeczne, po uzyskaniu aprobaty Komitetu Centralnego, wejdzie pod obrady Sejmu jesienią tego roku. Wśród postulatów wysuwanych przez załogi ważne miejsce zajmuje sprawa związków zawodowych. Dyskusja upoważnia mnie do stwierdzenia, że Komitet Centralny podziela stanowisko Biura Politycznego w tej sprawie. Uważamy, że Centralna Rada Związków Zawodowych powinna rozważyć niezwłocznie przeprowadzenie wyborów nowych władz związkowych we wszystkich tych zakładach, gdzie załogi będą sobie tego życzyły. Wybory te powinny być w pełni demokratyczne, tajne i przy nieograniczonej liczbie kandydatów. Nie ulega wątpliwości, że jeśli autorytet ostatnio wyłonionych samorzutnie w niektórych zakładach pracy przedstawicielstw okaże się trwały i ugruntowany — ich członkowie znajdą się na pewno w nowo wybranych władzach związkowych. Zbliżający się Kongres Związków Zawodowych winien stać się reprezentacyjnym forum polskiego świata pracy. Powinien on podjąć decyzje odnośnie roli, miejsca i form działania związków zawodowych, dla których autentyczna obrona interesów pracowniczych musi zawsze być funkcją nadrzędną. Jeszcze w tym roku należy poddać pod dyskusję ogólnospołeczną i przedstawić Sejmowi projekt nowej ustawy o związkach zawodowych”.

„Dokonujemy — mówił dalej Edward Gierka — poważnych zmian w naszej polityce w złożonych warunkach. Musimy działać stanowczo, ale rozważnie. [...] Powtórzę raz jeszcze: tylko socjalistyczna Polska może być państwem niepodległym o trwałych granicach i autorytecie międzynarodowym. Tylko socjalizm zabezpiecza dziś skutecznie nasze państwowe i narodowe interesy. Tych nadrzędnych wartości będziemy zdecydowanie bronić i strzec. [...] Partia nasza chce uczciwie skorygować swoją politykę licząc się z krytyką i postulatami załóg robotniczych i całego społeczeństwa. Chcemy rzeczywistego poszerzenia udziału obywateli w decydowaniu o sprawach zakładów pracy, miast i wsi, całego kraju. [...] Gotowi jesteśmy wychodzić naprzeciw zeloszonym wnioskom i postulatom. Ale nie możemy też godzić się na postulaty godzące w podstawy bytu narodu i państwa”.

„My, Polacy — zakończył swoje przemówienie Edward Gierka — nie raz dawaliśmy dowody dojrzałości politycznej. Dzisiaj istnieje wielka tej dojrzałości potrzeba”.

Całość dyskusji na IV Plenum KC PZPR zostanie opublikowana na łamach „Nowych Drog”. Właśnie przed chwilą mówił na ten temat w telewizji redaktor naczelny tego pisma, Stanisław Wroński, który wraz z Bohdanem Rolińskim, redaktorem naczelnym „Życia Warszawy”, podzielił się wrażeniami z sali obrad. Cytuję skróto z taśmy magnetofonowej:

Stanisław Wroński: „Na Plenum wskazywano, że wyjście z sytuacji nie może polegać na biurokratycznym obniżaniu realnie osiągniętego poziomu życia ludzi pracy, nie można z kryzysu wychodzić ich kosztem, tym bardziej, że rezerwy są inne i wobec tego do nich trzeba sięgać. Należy demokratycznym sposobem rozwiązywać postulaty przedstawione przez robotników. Strajkujące na Wybrzeżu rzesze robotników mają uzasadnione podstawy do swego oburzenia. Zarazem stwierdzono istnienie sił, które chciałyby przeszkodzić w takim właśnie, demokratycznym, rozwiązaniu problemu poprzez zaognianie sytuacji, poprzez nierealne stawianie pewnych żądań...”.

Bohdan Roliński: „Dla mnie najważniejsze we wczorajszych obradach było to, że Komitet Centralny mówił o robotniczych sprawach. Była to gorzka dyskusja, twarda dyskusja, prawdziwie — powiedziałbym o wystąpieniach towarzyszy z Wybrzeża — robotnicza dyskusja. To chyba jest najwyższa wartość tego Plenum. Odniosłem wrażenie, że tym razem nie ma możliwości odłożenia jakiegokolwiek sprawy ważnej społecznie. [...] Kwestia, która jeszcze wynikła we wczorajszych obradach, jest podkreślenie konieczności demokracji wewnątrzpartyjnej jako fundamentu demokracji społecznej, demokratycznego funkcjonowania państwa, demokratycznego funkcjonowania organizacji społecznych, w tym przede wszystkim związków zawodowych”.

Zanim trafi w nasze ręce wspomniany numer „Nowych Drog” chciałbym jeszcze zacytować kilka interesujących fragmentów z artykułu Mieczysława F. Rakowskiego, który ukazał się na łamach „Polityki” (nr 34 z 23 sierpnia). Są tu opinie, które warto przemysleć. Opinie, wypowiedziane przed IV Plenum.

„Doświadczenia całego powojennego okresu wskazują, iż kraj nasz posiada wielkie znaczenie dla równowagi europejskiej i światowej. Traktowanie Polski jako ważnego czynnika wspomnianej równowagi wynika z wielu przyczyn. Wśród małych i średnich europejskich państw socjalistycznych jesteśmy krajem największym pod każdym względem. Posiadamy wielkie zasoby cennych surowców, bardzo poważny potencjał gospodarczy i ludzi wykształconych, których wiedza opiera się o możliwość czerpania z dorobku całej ludzkości. Zajmujemy także miejsce ważne strategicznie.

W latach siedemdziesiątych wszystkie pozytywne zjawiska związane ze wzmacnianiem autorytetu Polski w świecie winny być dostrzegane i cenione. Prowadziliśmy w tych latach politykę szeroko otwartą na wszystkie kierunki geograficzne świata. Korzyści z niej odnosiła nie tylko polska gospodarka, lecz całe społeczeństwo, od intelektualistów po robotników. Dzięki takiej polityce Polska zdobyła sobie w świecie nowe „punkty uznaniowe”. Nie jest to błahe osiągnięcie!

Zwycięstwo socjalizmu przekreśliło możliwość traktowania przez kogokolwiek Polski jako kraju peryferyjnego. Dzisiaj przywódcy wszystkich liczących się państw uważają, że Polska posiadająca ustrój socjalistyczny jest bardzo ważnym elementem wspomnianej równowagi. Jesteśmy krajem liczącym się również dlatego, a może przede wszystkim dlatego, iż potrafiliśmy na progu swej kolejnej niepodległości wejść na drogę przyjaznych stosunków ze Związkiem Radzieckim.

Z tej roli i pozycji Polski wynika nasza odpowiedzialność za pokój w Europie. I nie tylko za pokój, ale także za dalsze losy polityki odprężenia. Jeśli na przykład w Polsce miałyby dojść do trwałej destabilizacji stosunków społecznych i politycznych, to z góry można przewidzieć, iż kraj nasz stałby się zawalidogą europejskim, kłopotliwym dla wszystkich członkiem wielkiej rodziny narodów, a kto wie, czy nie ściągający na Europę czegoś w rodzaju nowego, bardziej jeszcze destrukcyjnego wydania „zimnej wojny”. Polska niewątpliwie jest punktem niewrażliwym i dlatego oczywiste jest dla mnie, że wielu polityków i przywódców Zachodu w ostatnich tygodniach publicznie wyrażało przekonanie i nadzieję, iż nasz kraj potrafi z korzyścią dla siebie i Europy rozwiązać trudności i sprzeczności jakie wylonili się na drodze naszego rozwoju, podkreślając, że im na tym zależy.

Skoro takie jest miejsce Polski w Europie, skoro tak nas widzą, to każdy nasz krok publiczny powinien być starannie odmierzony i przemyślany. Dotyczy to zarówno rządzących jak i rządzonych. Mówiąc wyraźnie: musimy wszyscy, od góry do dołu, niezależnie od wyznawanej orientacji politycznej i światopoglądowej, postępować tak, aby świat widział, że jako naród rozumiemy ciężar spoczywający na nas odpowiedzialności, że wiemy, iż Polska nie kończy się na naszym pokoleniu i że potrafimy się nie tylko rządzić sami, lecz również mądrze, co nie jest — jak wskazuje nasza przeszłość — sztuką wcale taką łatwą.

Destabilizacja stosunków społeczno-gospodarczych w Polsce byłaby groźna nie tylko z uwagi na rolę jaką spełnia nasz kraj w zachowaniu równowagi europejskiej i światowej, lecz także z przyczyn wewnętrznych. Destabilizacja może sprzyjać wytwarzaniu się złudzeń wśród sił występujących przeciwko PZPR, iż nadeszła chwila nie tylko na głoszenie swoich koncepcji, ale także na przejście do ich realizacji. Interesy narodowe wymagają wyraźnego odcięcia się od takich ciągów, a więc unikania też działań destabilizujących sytuację społeczno-ekonomiczną kraju, które, czy ktoś tego chce czy nie, sprzyjają aktywizacji sił antysocjalistycznych [...]. Wszelkie myślenie polityczne podążające w kierunku

usprawnienia naszego systemu społecznego (a jest to czynność ciągła, bowiem nie ma raz na zawsze danych najdoskonalszych form, metod i środków) musi mieć na względzie umacnianie socjalizmu w Polsce i zachowanie historycznie ukształtowanej substancji władzy politycznej. Zrozumienie tego jest podstawowym warunkiem odpowiedzialnego myślenia i działania z punktu widzenia losów państwa i narodu. Tak zresztą rozumują politycy, którzy wcale socjalizmu nie kochają — mam na myśli zachodnich mężów stanu.

Jest rzeczą oczywistą, że przedstawiony powyżej punkt widzenia wcale nie oznacza, iż nasza partia może choćby przez chwilę lekceważyć ideę rzeczywistego, nieformalnego udziału społeczeństwa i jego przedstawicielstw we współzrządzeniu państwem. Nie może, ponieważ w systemie socjalistycznym człowiek tylko wtedy poczuwa się do współodpowiedzialności za państwo, jeżeli posiada faktyczny wpływ na jego politykę. Na tym polega istota ludowladztwa! Inaczej mówiąc — nie ma współodpowiedzialności bez udziału we władzy. A władza, jak wiadomo, to przecież nie tylko tzw. „góra”. Stałe urealnianie idei współzrządzenia zawartych w platformie Frontu Jedności Narodu nie może być traktowane w kategoriach taktyki politycznej, lecz strategii. Musi być przedmiotem stałej naszej troski, bowiem nie można wyobrazić sobie pomyślnej przyszłości socjalizmu w Polsce, który nie jest i nie będzie przecież formacją zastępną bez codziennej współodpowiedzialności za nasze narodowe losy wszystkich patriotycznie i realistycznie myślących Polaków. Jest to wniosek, który podsuwa rzeczywistość i bogate demokratyczne tradycje narodu polskiego”.

Omawiając ostatnie strajki na Wybrzeżu, autor wyraża pogląd, że stanowią one bardzo złożone zjawisko gospodarcze, polityczne i psychologiczne, wymagające poważnej i wszechstronnej analizy. „W wielu wypadkach — stwierdza M. F. Rakowski — można zrozumieć motywy i intencje powodujące porzucenie pracy. Niepokojące jest jednak, że nie wszyscy biorą pod uwagę skutki, jakie mogą ich działania spowodować. Szczególnie zaś te odroczy niezadowolonych — nawet w takim lub innym stopniu uzasadnione — w których przejawiały się nieprzemysłane emocje, których polityczne następstwa mogłyby zachwiać na czas długi miejscem, w którym żyjemy i formami narodowego bytu. Bywa, że pragnie się jednego, a poprzez swe działania powoduje skutki przeciwnie intencjom”.

Trudno cokolwiek dodać do tych słów.

MAJ

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechzyca-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasicki, Eugeniusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Bronisław Kowalski, Henryk Pajak (kierownik działu literackiego), Maciej Podgórski, Waldemar Stepien (fotoreporter). Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Informacji o warunkach prenumeraty udziela Oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 78 zł. Prenumerata ze zniżką wysyła się granicę przyjmując RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1931-71; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki w godz. 10-12 i piątki w godz. 14-15.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch”, Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin I, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

PL ISSN 0137-7108
Nr indeksu 36251

PIECHOTA

Andrzej Konstankiewicz

WYBUCH wojny zastał Wojsko Polskie w trakcie przeobrażenia i dozbrajania. Natomiast Wehrmacht był już wyposażony w nowoczesny sprzęt, dodatkowo uzupełniony przejętą bronią czechosłowacką.

System broni strzeleckiej w Wojsku Polskim przewidywał wyposażenie w pistolety automatyczne, karabiny i karabinki powtarzalne, karabiny specjalne, ręczne i ciężkie, karabiny maszynowe, granatniki i moździerze oraz armaty przeciwpancerne i towarzyszące. Niemiecki system uzbrojenia uzupełniony był pistoletami maszynowymi, ponadto dysponował uniwersalnymi karabinami maszynowymi spełniającymi funkcję broni lekkiej i ciężkiej w zależności od rodzaju podstawy.

Podstawowym pistoletem automatycznym przyjętym do uzbrojenia armii polskiej był ViS wz. 35. Nowoczesna konstrukcja, oparta o klasyczne rozwiązania, była równorzędna z niemieckimi pistoletami wz. 08 (parabellum). Te ostatnie, działające na tej samej zasadzie co ViS, miały bardziej skomplikowaną konstrukcję mechanizmu zamka. Nowszy pistolet Walther wz. 38 HP nie był jeszcze powszechnie stosowany w jednostkach Wehrmachtu.

Etatową bronią strzelecką obu armii był karabin lub karabinek systemu Mausera. Pod względem konstrukcji były one najzupełniej równorzędne, z tym że polski kbk wz. 29, ze względu na staranne wykonanie i dopracowanie elementów, odznaczał się większą celnością i niezawodnością. W jednostkach specjalnych (strzelcy górcy, rezerwowych i tyłowych Wojsko Polskie i Wehrmacht miały broń powtarzalną innych, nieco starszych wzorów.

Niemieckie pistolety maszynowe, około 700 na dywizję piechoty (MP 28 oraz MP 38) działały na zasadzie swobodnego zamka i strzelały ogniem ciągłym, pierwszy również pojedynczym. Ich odpowiednikiem w Wojsku Polskim, nie wprowadzonym do uzbrojenia, był pistolet maszynowy Mors wz. 38, przystosowany do tego samego typu amunicji (parabellum — 9 mm) i posiadający szereg bardzo oryginalnych i ciekawych rozwiązań.

Zasadniczym rkm w Wojsku Polskim był wz. 28 systemu Browninga. Zmodyfikowany przez polskich konstruktorów, odznaczał się szybkostrzelnością i niezawodnością, do czego przyczyniały się rozwiązania konstrukcyjne sprawdzone w praktyce oraz staranne wykonanie w krajowych wytwórniach. Oprócz tego w uzbrojeniu jednostek rezerwowych znajdował się lkm wz. 08/15 systemu Maxima, skomplikowany w budowie, o dość dużym stopniu zużycia i nie odpowiadający już wymaganiom współczesnego pola walki. Trzeba dodać, że ten sam wzór znajdował się w wyposażeniu oddziałów drugiej i trzeciej linii Wehrmachtu.

Niemcy pierwsi zastosowali uniwersalny karabin maszynowy MG 34 z szybkoładowaną lufą, który w zależności od podstawy mógł służyć jako lkm lub ckm. W produkcji broń ta była kosztowna i pracochłonna. MG 34 jako lkm, mocowany na dwójnogu, za ciężki (12 kg), zużywał zbyt dużo amunicji. Skomplikowany mechanizm broni był bardzo czuły na zanieczyszczenia mechaniczne (a nawet na wahania temperatury). Jako ckm karabin mocowany na trójnożnej podstawie umożliwiającej sprężyste zawieszenie; masa całości wynosiła 32 kg (ckm chłodzone wodą miały masę w granicach 40—50 kg). Wysoka szybkostrzelność broni została uzyskana dzięki zastosowaniu wymiennej lufy, którą po wystrzeleniu taśmy (250 naboł) zamieniano (karabin miał trzy lufy).

Polski ckm wz. 30 systemu Colt-Browning był w zasadzie równorzędny. Większa masa (49 kg) niwelowana była w pewnym stopniu dużą pewnością działania i możliwością dłuższego prowadzenia ognia ciągłego.

Armia polska jako jedna z nielicznych otrzymała karabiny specjalne, przeznaczone do zwalczania broni pancerniej. Karabin wz. 35 UR, był jak się okazało w toku działań wojennych,

bardzo skuteczną bronią. Staranne opracowanie, zastosowanie specjalnego naboju, kal. 7,9 mm oraz długa lufa pozwalały na uzyskanie dużej prędkości początkowej pocisku (1275 m/s), który wybił w pancerzu otwór o średnicy trzy razy większej od swojego kalibru. Dobrze działający hamulec wylotowy, trójnabojowy magazynek oraz stosunkowo mała masa broni (9,1 kg) podnosiły jej zalety użytkowe. Niemiecki odpowiednik PzB wz. 38, wprowadzony w niewielkich ilościach, ustępował wyraźnie polskiej konstrukcji — jednostrzałowy, pozbawiony hamulca wylotowego (bardzo silny odrzut), o dużej masie (16,7 kg), karabin ten nie spełniał zakładanych założeń.

W wyposażeniu polskich oddziałów piechoty podstawową bronią strzelniczą stanowił 46 mm granatnik wz. 36. Nieduża masa (8 kg) oraz szeroki zakres donośności (100—800 m) sprawiał, że broń była łatwa w obsłudze i skuteczna w działaniu. W porównaniu z nią niemiecki granatnik, kal. 50 mm, ustępował donośnością (450 m) i manewrowością (masa — 14 kg), ponadto jego konstrukcja była bardziej skomplikowana.

Drugi rodzaj broni strzelniczej stanowiły moździerze. Przyjęty w naszym wojsku wz. 31 systemu Stokes-Brands zdecydowanie przewyższał niemiecki wz. 34 donośnością (polski — 3000 m, niemiecki — 1900 m). Mógł także strzelać cięższym granatem (6,5 kg) na odległość 1200 m. Moździerz wz. 31 był bezpieczniejszy w obsłudze niż jego niemiecki odpowiednik.

Sprzęt przeciwpancerny, jakim dysponowały obie armie, pochodził z pierwszej połowy lat trzydziestych. Polska armata ppanc. wz. 36 (Bofors) o nowoczesnej konstrukcji (półautomatyczny zamek klinowy, niska sylwetka, korzystny profil tarcz dla obsługi) miała masę mniejszą od niemieckiej PAK wz. 35/36 (pierwsza — 380 kg, druga — 450 kg) i większą skuteczność ognia: pocisk armaty Bofors przebił 25 mm pancerz z odległości 1000 m (pod kątem 90 st.), natomiast niemieckiej tylko 22 mm, ponadto skuteczna donośność naszej armaty wynosiła 1000—1500 m wobec 456 m niemieckiej.

Artyleria towarzysząca Wehrmachtu wyposażona była we wprowadzone po marcu 1935 r. lekkie armaty pie-

choty Iig 18, kal. 75 mm i ciężkie armaty piechoty Iig 33 o kal. 150 mm. Kosztem małej masy sprzętu (pierwsza — 400 kg, druga — 1750 kg) a przez to zwiększenie jego manewrowości, uzyskano donośność pierwszej 3500 m, drugiej 4700 m. Wadą obu wzorów była niewielka skuteczność zwalczania broni pancerniej spowodowana niską prędkością początkową pocisków.

Polska piechota uzbrojona była w armaty wz. 02/26 75 mm, sprzed I wojny światowej, zwane „prawosławnymi”. Sprzęt uległ niewielkim modyfikacjom i w stosunku do wymagań piechoty miał zbyt dużą masę (1097 kg), przez co ustępował armatom niemieckim. Duża donośność (11000 m) oraz płaski tor pocisku pozwalały wykorzystywać sprzęt polski także do obrony przeciwpancernej, aczkolwiek tylko część została specjalnie do tego przystosowana.

Ogólnie rzecz biorąc, sprzęt polski, stanowiący modyfikacje obcych wzorów bądź rodzime oryginalne opracowania, był równorzędny, a w niektórych wypadkach przewyższał sprzęt niemiecki. Wiele bardzo udanych wzorów nie weszło do wyposażenia naszej armii ze względu na niedopracowanie lub ograniczone możliwości produkcyjne i materiałowe. Zwraca uwagę fakt, że niektóre wzory uzbrojenia zostały opracowane bardzo szybko (np. rkm wz. 28 czy ckm wz. 30), inne zaś — pomimo niewątpliwych zalet — zbyt długo nie wchodziły do produkcji (pistolet ViS wz. 35 czy granatnik wz. 36). Ponadto w niektórych wypadkach dążono do przesadnej wręcz doskonałości, co odbiło się na ilości sprzętu (kb samopowtarzalny wz. 38 pistolet maszynowy Mors wz. 38). Należy także pamiętać, że polski sprzęt przeszedł próbę w bardzo trudnych warunkach polowych, pozbawiony zaplecza technicznego, skonfrontowany z znaczną przewagą ilościową nieprzyjaciela.

Wbrew panującym przekonaniom sprzęt niemiecki nie zawsze zdawał egzamin, wykazywał wady spowodowane głównie niedopracowaniem konstrukcyjnym (np. lkm MG-34).

Można z całym przekonaniem stwierdzić, że rozwój i osiągnięcia polskiej myśli technicznej wyprzedzały myśl wojskową, która nie umiała w pełni wykorzystać zdolności konstruktorów i możliwości produkcyjnych nielicznych fabryk zbrojeniowych.

CZOŁGI

Bohdan Królikowski

CZYM właściwie były nasze tankietki TK lub TKS? Co znaczyło tajemnicze słowo 7 TP? Tankietki (lekkie czołgi rozpoznawcze) narodziły się w Anglii, w roku 1928, w firmie Carden-Loyd. Już w roku 1929 Polska zakupiła licencję uprawniającą do ich produkcji. W ciągu roku 1930 opracowano pod kierunkiem mjr. T. Trzeciaka i rtm. E. Karkoza polską wersję — jak twierdzą fachowcy — znacznie przewyższającą angielski pierwowzór.

Tankietki, nazwane oficjalnie czołgami rozpoznawczymi TK (litery prawdopodobnie wzięte z inicjałów konstruktorów), produkowano w Polsce w trzech wersjach aż do roku 1936. Były to pojazdy gąsienicowe, bezwieżowe, uzbrojone w jeden cekaem, chronione pancerzem grubości do 9 mm, obsługiwane przez dwu ludzi, mogące rozwijać szybkość do 45 km na godz. Całkowita ich masa, dochodziła do 2,5 tony (TK 3).

W roku 1933 opracowano ulepszoną wersję tankietki — czołg rozpoznawczy TKS, różniący się od TK szeregiem drobnych udoskonaleń, nieco grubszym pancerzem, nieznacznie większą masą, a także wyglądem, zwłaszcza od przodu (jarzmo broni, stanowisko kierowcy). W oparciu o podwozie czołgu TK wykonano prototypową jego wersję z wieżą, z armatą pepanc. (działko samobieżne) oraz gąsienicowy ciągnik artyleryjski. 1 września 1939 Wojsko Polskie dysponowało 574 sztukami czołgów TK i TKS.

Natomiast kryptonim 7 TP krył nazwę: siedmiotonowy polski (domyślnie: czołg). I te wozy pochodziły z Anglii, ale też i one w polskiej wersji przewyższały pierwowzór: dwuwieżowe czołgi firmy Vickers, których 38 zakupiono w Wielkiej Brytanii w roku 1933 wraz z licencją.

Już w roku 1934 zaczęto produkować w Polsce czołgi wzorowane na Vickersach, jeszcze dwuwieżowe (z dwoma cekaemami), ale już ulepszone, a co najważniejsze — wyposażone w wysokoprężne silniki typu Diesel, jako pierwsze na świecie.

Pod koniec roku 1936 rozpoczęto produkcję zmienionej wersji czołgu 7 TP: jednowieżowe, uzbrojone w działko kal. 37 mm i cekaem, wyposażone w radiostację (na którą wykonano niszę z tyłu wieży) i rewelacyjny peryskop wynaleziony w Polsce przez kpt. R. Gundliacha. Czołg 7 TP posiadał pancerz do 17 cm grubości, rozwijał szybkość do 37 km na godz. obsługiwany był przez trzech ludzi. Masa całkowita czołgu w wersji jednowieżowej wynosiła prawie 10 ton.

We wrześniu 1939 Wojsko Polskie posiadało 161 sztuk czołgów lekkich (Vickersów oraz 7 TP — dwu i jednowieżowych). W stadium prób i w opracowaniu znajdowały się nowe wersje czołgów lekkich i pościgowych (10 TP i 14 TP). Planowano również dokonać we Francji zakupu około 200 czołgów lekkich R 35, jednakże do dnia 1 września otrzymano tylko 50. Uzbrojono w nie jeden batalion, który zresztą nie wszedł do walki (szczegółowo pisze o tym F. Skibiński we wspomnieniach pt. „Pierwsza pancerna” mających już wiele wydań).

Polska broń pancerna w Kampanii Wrześniowej było zorganizowana w dwie brygady, trzy bataliony, jednaście dywizjonów, 18 kompanii, 10 pociągów pancernych oraz trzy kompanie czołgów wolnobieżnych Renault, nie nadających się do użycia w polu.

Największą polską jednostką pancerną, właściwie pancerno-motorową, była 10 Brygada Kawalerii, składająca się z dywizjonu rozpoznawczego,

dwu pułków kawalerii zmotoryzowanej (24-ego ułanów i 10-ego strzelców konnych), batalionu czołgów (kompania rozpoznawczych i kompania lekkich), dywizjonu przeciwpancernego, dywizjonu artylerii motorowej, baterii artylerii pelot., saperów, łączności i służb. Drugą podobną jednostką była Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa, sformowana dopiero latem 1939. Planowano utworzenie jeszcze dwu takich jednostek.

Bataliony czołgów lekkich wchodziły w skład Odwodów Naczelnego Wodza. Dywizjony pancerne walczyły w ramach Brygad Kawalerii. Każdy z nich składał się ze szwadronu czołgów rozpoznawczych TK lub TKS (14 wozów) i szwadronu samochodów pancernych wz. 34 (osiem wozów). Kompanie czołgów rozpoznawczych (zorganizowane jak szwadrony) były przydzielane dywizjom piechoty pierwszego rzutu.

Pociągi pancerne, przydzielane dowództwom poszczególnych armii, składały się z dwu wagonów artyleryjskich (po dwa działka), wagonu szturmowego (do przewożenia desantu piechoty), dwu drezyn pancernych (przed i za pociągiem) oraz dwu czołgów lekkich i pięciu rozpoznawczych. Były to jednostki stosunkowo silne, niestety uzależnione od torów kolejowych i bardziej od reszty broni pancerniej narażone na ataki lotnicze.

Polska broń pancerna nie wytrzymała porównania z niemiecką pod względem liczbowym (w skali światowej miała słodnie miejsce), ale pod względem jakości wcale jej nie ustępowała. Przewyższała ją też duchem walki i zaciętością. Niestety, o walkach czołgów we wrześniu nie wiemy zbyt dużo. W ogóle o polskiej broni pancerniej pisano, — jak dotąd, niezbyt wiele. Co prawda ostatnio ukazało się na ten temat kilka popularnych opracowań, ale nie zmienia to sytuacji w sposób zasadniczy.

Stosunkowo najwięcej wiemy o walkach 10 Brygady Kawalerii, jedynej jednostki Wojska Polskiego, która istniała niemal bez przerwy (mimo zmian nazwy) przez cały okres wojny,

walcząc w kilku kampaniach pod tym samym dowództwem i pod tymi samymi sztandarami. Jest to fakt bez precedensu. Dlatego warto chyba pomyśleć o popularyzacji bojów żołnierzy generała Maczka.

Wróćmy do Kampanii Wrześniowej. Co wiemy o udziale w niej broni pancerniej poza 10 Brygadą? To i owo o bitwie pod Mokry, gdzie odznaczył się 21 dywizjon pancerny oraz dwa pociągi, nr 52 i 53, trochę o walkach Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej pod Tomaszowem. I to niemal wszystko.

Opracowanie dziejów polskiej broni pancerniej w Kampanii Wrześniowej jest tematem, który czeka na swego historyka. Nie jest to zresztą łatwe zadanie. Coraz mniej mamy wśród nas uczestników walk wrześniowych, a i pamięć ich wyblakła, pozacierają się szczegóły. O ilu epizodach już zapomniano? O ilu nie wie nikt?

Nie nakręcono o nich filmu, nie napisano powieści ani monografii historycznej. Nie ukazał się też jak dotąd — o ile mi wiadomo — żaden pamiętnik uczestnika pancernych bojów (poza wspomnieniami o 10 Brygadzie — i Dywizji).

Przecież nie ma w Polsce ani jednej zachowanej tankietki, ani jednego czołgu 7 TP. Nie można ich zobaczyć, dotknąć, wsiąść do nich, zapuścić motor, wypruć ćwiczebną serię z kaemu. A jak pisać powieść bez tego wszystkiego?

Zdarzało się bowiem że trzeba było niszczyć własne wozy, by nie dostały się Niemcom. A potem walczyć na piechotę. Iść na Węgry czy do Rumunii, do niewoli czy do szpitala, a jeśli przyszło zginąć, to może i nikt nie zwrócił uwagi na dziwny hełm poległego: bez przedniego okapu, ze skórzanym ochraniaczem nad czołem. Może na grobie napisano po prostu „strzelec” albo tylko „nieznany żołnierz”?

POLSKI W ŚWIECIE

Jak przedstawia się zainteresowanie językiem polskim w świecie, jak kształtuje się znajomość tego języka w środowiskach polonijnych różnych krajów? — oto pytanie, na które próbowali odpowiedzieć uczestnicy kursu metodycznego dla nauczycieli polonijnych, odbywającego się w Lublinie od 13 lipca do 6 sierpnia: Joanna E. Helenowska — studentka a jednocześnie nauczycielka gimnazjum w Chicago, Frank Mocha — profesor Loyola University w Chicago, Bernard Osiniński — działacz polonijny w Szwecji, Nina Richter — lektorka języka polskiego w uniwersytecie ludowym w Schweinfurt w RFN, Andre Rogala — wykładowca na kursie języka polskiego w Utrechcie w Holandii, Urszula Rogerson — nauczycielka szkoły średniej w Sydney w Australii. Redakcję reprezentował Ireneusz J. Kamiński. Organizatorem wspomnianego kursu było Centrum Polonijne UMCS.



Joanna E. Helenowska



Frank Mocha



Bernard Osiniński

Ireneusz J. Kamiński: — Najwięcej osób polskiego pochodzenia żyje w USA, może więc pan profesor Mocha zechciałby powiedzieć kilka zdań na temat znajomości naszego języka w tej grupie etnicznej.

Frank Mocha: — Oblicza się, że w Stanach Zjednoczonych mieszka obecnie ponad 15 milionów Amerykanów polskiego pochodzenia, z czego 2-3 miliony władają językiem polskim.

IJK: — Niewiele...

FM: — Bo dla wcześniejszej emigracji szybka amerykanizacja była warunkiem kariery życiowej, zawodowej w USA. Wyjątkowo szybko wyzbywały się mowy ojczystej dzieci tych emigrantów. Znam taki przypadek: rodzice mówią świetnie po polsku, a ich córka, nauczycielka szkoły podstawowej, zupełnie nie zna polszczyzny. Otrzymała staranne wykształcenie, bardzo dobrze zarabia, ale — i to jest ciekawe — ową nieznaną języka odczuwa bardzo boleśnie, tym mocniej, im więcej spraw polskich pojawia się w Chicago.

Joanna E. Helenowska: — Ale moja przyjaciółka, a studentka profesora Mochy, reprezentująca trzecie pokolenie amerykańskiej Polonii, sama w wieku 15 lat nauczyła się polskiego, jakby na przekór rodzicom i dziadkom, którzy już dawno wyzbyli się znajomości tego języka. O jej powrocie zadecydował instynkt narodowy, emocje, pragnienie osobistego dotarcia do własnych korzeni etnicznych. A teraz co roku odwiedza Polskę, żyć bez niej nie może, amerykańskich studentów uczy naszych piosenek.

FM: — Wspomniany warunek kariery nie obowiązuje już, na szczęście, młodszych pokoleń, co zawdzięczać mogą m.in. „przebudzeniu etnicznemu” w USA lat sześćdziesiątych, sprzyjającemu rozwojowi różnych kultur — także w płaszczyźnie administracyjno-prawnej. Na Loyola University, a jest to uczelnia prestiżowa, studentka zainteresowania językowe plasują polszczyznę na piątym miejscu, za hiszpańskim, francuskim, niemieckim i włoskim, ale przed rosyjskim, chińskim, japońskim. Biorąc

jednak pod uwagę liczebność chicagowskiej Polonii, powinniśmy zajmować znacznie lepsze miejsce. Wspomniana hierarchia wynika z tradycji: tamte języki od dawna znajdowały się w programach uniwersytetów i szkół, polski, na przykład na mojej uczelni, pojawił się niedawno, po wyborze Jana Pawła II. Myślę, że czas pracuje na naszą korzyść.

Andre Rogala: — Nasza sytuacja jest nieporównywalna z amerykańską, ostatecznie w 13-milionowej Holandii żyje zaledwie trzy tysiące Polaków, skupionych w Bredzie i rozrzuconych w południowych prowincjach. Przypadek egzotyczny: w pracy zetknąłem się z człowiekiem o nazwisku Moleński, który miał ciemną skórę i pochodził z Indonezji. Twierdził, że jest potomkiem powstańca listopadowego, który wraz z grupą towarzyszy dotarł na wyspy południowe.

FM: — Prawdopodobnie byli oni w służbie holenderskiej...

AR: — Moleński wiedział tylko, że jest polskiego pochodzenia... W Holandii nie ma szkół nauczających polszczyzny, właśnie ze względu na małą liczebność Polonii, ale w Utrechcie od pięciu lat prowadzimy kurs języka polskiego, na który przeważnie uczęszczają starsze panie — żony byłych żołnierzy gen. Maczka czy gen. Sosabowskiego. Poprzedni taki kurs uruchomiono bardzo dawno, bo przy końcu lat czterdziestych, ale te same kobiety, młode wówczas dziewczyny, nie miały ochoty na naukę. Dziś uczą się ze względów praktycznych: często jeżdżą z mężami do Polski. Mam też na kursie czystych Holendrów, którzy odwiedzają Polskę w celach handlowych lub turystycznych, a trzy lata temu chodził na zajęcia, przez całe osiem miesięcy, Murzyn z ówczesnej Gwinyi Holenderskiej. Jego zainteresowanie polszczyzną także tłumaczyły okoliczności praktyczne: rodzina w Brazylii posiadała firmę współpracującą z Polską.

IJK: — Czy zdarzyło się panu posługiwać naszym językiem poza granicami Holandii, no i PRL?

AR: — Raz w Luksemburgu przenocowała mnie pewna polska rodzina, nie chcąc zapłaty i dziękując za możliwość porozmawiania po polsku, drugi raz, w RFN, kiedy popełniłem wykroczenie drogowe, policjant puścił mnie wolno, nie ściągając mandatu — po usłyszeniu mojego okrzyku: „Jezus Maria, co ja teraz zapłacę!”

IJK: — Jest pan młodym człowiekiem, ale w Holandii mieszka pan już kilkanaście lat, bardzo dobrze mówiąc po polsku.

AR: — Matka wychowała mnie

po polsku, jestem dumny ze swego pochodzenia. Zresztą matka moja pochodzi z dobrej rodziny ziemiańskiej z litewskiego Marianpola.

JEH: — Amerykańscy studenci polskiego pochodzenia czują się zagubieni, więc usilnie poszukują własnego rodowodu. Specyfika wielonarodowego społeczeństwa rodzi przy tym szczególne sytuacje. Pewna studentka, moja znajoma, wyszła za mąż za Meksykanczyka, urodziła śliczną córkę, no a teraz, kiedy przyszła pora, uczy ją mówić po polsku i angielsku, gdy tymczasem ojciec naucza dziecko hiszpańskiego.

IJK: — O ile wiem, ona jest polską Żydówką, świetnie zresztą władającą językiem Mickiewicza.

Bernard Osiniński: — Polonii szwedzkiej także nie można porównywać z amerykańską, liczy ona bowiem 10-12 tys. osób, roztopionych w 8 milionach rodowitych obywateli kraju. Kto z tej grupy rozmawia na co dzień po polsku? Z reguły my, dawni marynarze polskich okrętów wojennych, internowanych w Szwecji. W sposób zorganizowany naucza się polskiego w dużych miastach, w mniejszych rodzice ślą dzieci do szkół szwedzkich. Wyjątkowo zasłużyła się tu dla polszczyzny pani Anna Surma.

IJK: — Pan Osiniński dba przede wszystkim o zaopatrywanie polskich bibliotek i naukowców w szwedzkie polonica, nie przepuści też nikomu, kto w tamtejszej prasie usiłuje fałszować obraz Polski współczesnej.

BO: — Tak, pracą dydaktyczną nie zajmowałem się, bo trudno do niej zaliczyć uczenie zwrotów grzecznościowych i elementów historii Polski tych handlowców szwedzkich, którzy kontaktują się z naszym krajem, czy też udzielanie konsultacji z zakresu dziejów Szwecji uczniom tutejszych szkół średnich...

IJK: — No i znów pojawia się motyw praktyczny w nauce polskiego...

Nina Richter: — Właśnie. Do uniwersytetu ludowego, który zatrudnia 108 docentów, język polski wprowadziłam osiem lat temu. Moi słuchacze to rodowici Niemcy — niedawno pojawiła się też Amerykanka — którzy zamierzają lub już odwiedzają Polskę w charakterze turystów, najczęściej, co skłania mnie do przekazywania im również wiedzy o naszej kulturze, historii i geografii. Grupy moich słuchaczy liczą średnio po 20 osób, przy czym warto wiedzieć, że w całym mieście żyje 58 tys. mieszkańców. Skąd się bierze zainteresowanie polszczyzną? Moim zdaniem, głównie z faktu, że Polska jest krajem otwartym.

IJK: — Podobno we Francji istnieje wręcz moda na polskość...

NR: — W RFN obserwuję stały wzrost zainteresowania Polską...



Nina Richter



Andre Rogala



Urszula Rogerson

Poza wspomnianym prowadzą też kurs dla tych osób, które chcą sobie język polski przypomnieć, albo nie chcą go zapomnieć. Tego rodzaju kursy konwersatoria adresowane są, oczywiście, do Polaków mieszkających w Republice od lat, albo od niedawna.

Ursula Rogerson: — Moje australijskie doświadczenia są nieco odmienne. Mieszkam w tym kraju lat 11, od 10 i pół pracuję w szkółnictwie, przy czym trzy ostatnie uczę języka polskiego w państwowej szkole średniej. Jego oficjalne wprowadzenie do programu, jako języka, który można zdawać podczas egzaminu maturalnego w stanie Nowa Południowa Walia, poprzedziła dziesięcioletnia batalia. W stanie Victoria lektoraty języka polskiego istnieją już na uniwersytetach. Na pierwszym roku miałam trzech uczniów, na drugim — 20, w tym roku maturę z polskiego będzie zdawało około 30 osób. Liczyłam te wymownie świadczą o rosnącym zainteresowaniu nauką polskiego...

IJK: — Jakiej narodowości są pani uczniowie?

UR: — Polskiej. Z tym przypomnieniem wiąże się ogólniejszy problem. Otóż nie zamierzamy w Australii tworzyć polskiej enklawy, polskiego getta, pragniemy dodać naszą kulturę do powstającej własnie kultury tego pluralistycznego pod względem narodowym społeczeństwa. Równocześnie staramy się zainteresować polską kulturą szerokie kręgi mieszkańców Australii.

IJK: — Co miałyby pani do powiedzenia o nowszej emigracji?

UR: — Nie przyznaje się do polskości, unika nas. Ale to przejdzie, za pięć lat najwyżej minie ta fobia i ci ludzie wrócą do polskości, do naszego języka. Dajmy im czas na pozbycie się.

IJK: — Proszę państwa, jak oceniacie obecną pozycję i przyszłość języka polskiego w krajach zamieszkania, jak w ogóle widzącie miejsce sprawy polskiej na obczyźnie?

UR: — Uważam, że pozycja ta jest bardzo dobra.

FM: — Zainteresowanie językiem polskim w USA na pewno wzrasta, a stymulowały ten proces takie fakty, jak np. 200-lecie Stanów Zjednoczonych i 1000-lecie Polski, a więc rocznice umysławiające społeczeństwu znaczenie naszego kraju i jego wkład w cywilizację amerykańską. Wielkie, konstruktywne energie wyzwoliła też wizyta Jana Pawła II w USA.

IJK: — Panie profesorze, a czy fakt, że poważne stanowiska polityczne zajmują Amerykanie polskiego pochodzenia, czy fakt ten wpłynął na polepszenie samopoczucia Polonii za oceanem?

FM: — Niewątpliwie. Tylko, wie pan, na takie spektakularne wydarzenia personalne nie ma co liczyć w dłuższej perspektywie czasu. Ministrowie i doradcy przychodzą i odchodzą. Nam, w Stanach, potrzeba przede wszystkim silnej klasy średniej. Tymczasem mamy cienką warstwę elity, potem długo nic, a potem... Powoli sytuacja polepsza się jednak i na tym terenie.

NR: — Takie wydarzenia, jak wybranie polskiego kardynała papieżem, nie miały większego wpływu na zainteresowanie językiem polskim w RFN. Tutaj, jak wspominałam, zaciekawienie Polską, a więc i językiem kraju, rośnie ze względów ogólniejszych: historycznych, politycznych, albo zupełnie praktycznych. Oba te motywy przenikają się zresztą wzajemnie. Martwi mnie jednak to, że tzw. nowa emigracja, spod znaku „D-marki”, odchodzi od polskości, nie angażuje się działalność organizacji polonijnych.

IJK: — Wyciąganie daleko idących wniosków z naszej rozmowy byłoby chyba nieuprawnione. Problem, który poruszyliśmy, jest bowiem zbyt złożony. Można przecież powiedzieć, że pozycja języka polskiego i zainteresowanie naszym krajem w świecie w poważnym stopniu zależą od międzynarodowej pozycji Polski, od charakteru związków, jakie łączą nas z innymi krajami. Z drugiej strony pozycja ta określana jest przez indywidualne sukcesy ludzi, którzy wywodzą się z Polski, w różnych krajach świata dali się poznać jako rzetelni, energiczni, inteligentni i uczeni współtwórcy pomyślności swoich drugich ojczyzn.

PAN Jan Rudziński: szczupły, niewysoki, w grubych okularach, cicho mówiący, z miejscem wzbudzaający sympatię — 28 lat pracował w fabryce gumy do zucia, 22 lata uczy języka polskiego, 20 lat kieruje Polską Szkołą Doksztalcającą im. Marii Konopnickiej w Greenpoint, ma żonę Henrykę oraz dwoje dzieci, Irenę i Andrzeja.

— Urodziłem się w Kowalu na Kujawach. A wie pan, kto tam się wcześniej urodził? Nie wie pan? Kazimierz Wielki!

Trzy lata przed wybuchem drugiej wojny światowej Jan Rudziński podjął pracę nauczycielską, a kiedy przyszła pora poszedł na front. Do Stanów Zjednoczonych trafił w 1950 roku, po pobycie w niemieckim obozie jenieckim, po odbyciu kwarantanny w obozie alianckim.

— W polskich obozach po roku 1945 działały szkoły podstawowe, a nawet gimnazja, ucząc przez sześć dni w tygodniu. Zdumiewało to Amerykanów. A tutaj?

Driggs Ave. Obecnie ćwiczy się tam tylko tańce i śpiewy, ciesząc się zresztą wyjątkowym wzięciem u młodzieży, a pozostałe lekcje odbywają się w budynku polskiej szkoły parafialnej 10 Newell Street, dzięki czemu odpada konieczność płacenia czynszu za lokal.

— Ponieważ jednak w „wolne soboty” budynek jest opalany tylko dla nas, płacimy za to 100 dolarów.

Do szkoły doksztalcającej chodzą dzieci w wieku od sześciu do 13 lat. Osiem lat uczą się z podręczników opracowanych w kraju, choć bardzo trudno je dostać: zarówno w Polsce, co dziwne, jak i w USA, co zrozumiałe.

Oficjalnie prosiłmy kraj o pomoc w tej sprawie, lecz bezskutecznie. Pewna prywatna osoba przysłała nam elementarz Falskiego, który przerabiamy przez pierwsze dwa lata nauki, bo dzieci nie nadążają, szczególnie te, które przychodzą do nas bez jakiegokolwiek znajomości polskiego. W identyczny sposób postępuje się w następnych klasach: np. książeczka „W szko-

le i w domu” przydaje nam się w III klasie, podczas gdy w Polsce obowiązuje w drugiej. I tak dalej.

Pewna grupa nauczycieli to osoby młode, nierzadko przybyłe z Polski w ostatnich latach.

— Cała praca opiera się jednak na starej gwardii, czworo z nas ma już ponad 60 lat. To właśnie my co roku przypominamy listownie rodzicom o terminie rozpoczęcia roku szkolnego, płacąc za znaczki z własnej kieszeni. Szkoła cieszy się dobrą opinią w środowisku, w czym zasługa właśnie starej gwardii, która mimo lat doksztalca się na różnych kursach krajowych. Pan Rudziński już czterokrotnie gościł w Polsce na kursie dla nauczycieli polonijnych — trzy razy przebywając w Lublinie, zaproszony przez Centrum UMCS.

— Mój syn, nauczyciel w high school, też jeździł do kraju na te szkolenia, ale teraz już nie jeździ, a nawet rzucił pracę w szkole publicznej, bo tam strasznie dziś niebezpiecznie, uczniowie z Portoryko skaczą do nauczycieli z nożami. Wcześniej dużo mi pomagał. Moja żona też działa na terenie szkoły, od dawna opiekując się szatnią zespołów teatralnych i tanecznych, które występują na przykład w czasie dorocznych zjazdów przedstawicieli szkół doksztalcających w Amerykańskiej Częstochowie, 100 mil od Nowego Jorku.

Szkoła z Greenpoint należy do Centrali Polskich Szkół Doksztalcających w Ameryce, która skupia około 20 placówek, znajdujących się na obszarze trzech czy czterech wschodnich sta-

now. W Brooklynie nie wiedzą, czy podobne organizacje polonijnego szkolnictwa działają np. na zachodnim wybrzeżu.

Pan Jachniewicz jest bardzo dobrym fotografem amerykańskiego banku, który najserdeczniej uwielbia ludzi i sprawy polskie.

— My mamy serca rozdarte: część jest w Polsce, część w Ameryce. I to jest nasz dramat, może cichy, ale ślady, ciągle podjudzany przez drobne nawet sprawy. Ale mój syn stwierdza już jednoznacznie, że jego ojczyzną są Stany Zjednoczone.

Prawie wszyscy uczniowie szkoły doksztalcającej uczęszczają do podstawowej, prowadzonej przez parafię polską im. Stanisława Kostki, a więc mającej status placówki prywatnej i liczącej ponad 500 dziewcząt i chłopców, czyli około 1000 mniej, niż kilkanaście lat temu.

— Ci, którzy ostatnio przyjeżdżają do USA z kraju, z reguły ślą swoje dzieci do amerykańskiej szkoły publicznej bo tam nauka jest bezpłatna,

a każdy nowo przybyły dodatkowo otrzymuje bezpłatne śniadanie. Odgrywa też pewną rolę nawyk wyniesiony z Polski, gdzie nauka, jak wiadomo, jest bezpłatna. Zresztą: jaki element tu emigruje? Najczęściej mało wartościowy, ze wsi, z prowincjonalnych miasteczek, bez wykształcenia.

W szkole parafialnej imienia polskiego świętego wyklada się po angielsku, a i prywatnie też rzadko mówi po polsku. Kiedy jednak na progu kancelarii pojawia się amigo bardzo opalony, w pomieszczeniu zaczyna dźwięczeć piękny język z nad Wisły oraz informacja, że w tej oto szkole, niestety, nie naucza się hiszpańskiego, w ogóle brakuje nauczycieli tego przedmiotu. Druga polska szkoła parafialna na tym terenie dogorywa właśnie, bo pozwoliła sobie na luksus humanizmu, wpuszczając do swoich sal Portorykańczyków. Prawde mówiąc: sami weszli, prosto z opanowywanej przez siebie części dzielnicy, na podstawie prawa, które każdemu obywatelowi Stanów Zjednoczonych zapewnia dostęp do takiej szkoły, jaką wybierze. Inna sprawa, że w praktyce rodzi to problemy dramatyczne, jeśli nie krwawe.

— Tu jednak jakoś żyjemy — mówi pan Jachniewicz. — Ale brań będą musiały sobie kupić.

Przełączam okolicznościowe wydawnictwo — opracowanie graficzne i fotografie pana Jachniewicza — sumujące pierwsze 50 lat istnienia szkoły doksztalcającej im. Marii Konopnickiej w Greenpoint i znajduję w nim taki oto wiersz pł. „Polskie dziecko”!

Spotkałem polskie dziecko. W New Yorku. Przypadkiem w parku, Podeszło, żeby godzinę sprawdzić na moim zegarku. Lat miało sześć, może siedem. I oczy, jak dwa bławatki. Chłopiec z liniami włosami. W obejściu miły i gładki. Słicznie uśmiechnął się do mnie, z fantazją stuknął obcasem: „My name is Peter” — powiedział. I dodał jakby nawiasem: „I'm Polish”. Specjalnie wybił, podkreślił ostatnie słowo. Polak? Więc mówmy po polsku. Milcząc zaprzeczył głową. A potem spuścił oczy, wykreślił się na pięcie i odszedł. Raz jeszcze za mną obejrzał się na zakręcie i zniknął. A mnie na sercu zrobiło się jakoś smutno. Tak jakoś przykro i dziwnie... Poczulem żalność okrutną. Widocznie człowiek do szpiku przesiąkł tą polską naturą. I głupi polski sentyment wciąż gdzieś tam nosi za skórą. (...)

Wrócił chłopiec i przerwał dziwny tok moich myśli. Usiadł przy mnie na lawce. Wiatr nad głową nam szumiał. Opowiadać zacząłem o Warszawie. O Wiśle. A on słuchał z przejęciem, choć niewiele rozumiał. I przesiadł tak ze mną długo. Prawie do zmroku. Wstałem z ławy i rzekłem: „Czas nam iść, panie Piotrze...” A on dojrzał widocznie głupią łzę w moim oku: „Don't cry...” — szepnął. I dodał: „I am Polak...” — i odszedł.

Spotkałem polskie dziecko. W New Yorku. Przypadkiem w parku, Podeszło, żeby godzinę sprawdzić na moim zegarku. Lat miało sześć, może siedem. I oczy, jak dwa bławatki. Chłopiec z liniami włosami. W obejściu miły i gładki. Słicznie uśmiechnął się do mnie, z fantazją stuknął obcasem: „My name is Peter” — powiedział. I dodał jakby nawiasem: „I'm Polish”. Specjalnie wybił, podkreślił ostatnie słowo. Polak? Więc mówmy po polsku. Milcząc zaprzeczył głową. A potem spuścił oczy, wykreślił się na pięcie i odszedł. Raz jeszcze za mną obejrzał się na zakręcie i zniknął. A mnie na sercu zrobiło się jakoś smutno. Tak jakoś przykro i dziwnie... Poczulem żalność okrutną. Widocznie człowiek do szpiku przesiąkł tą polską naturą. I głupi polski sentyment wciąż gdzieś tam nosi za skórą. (...)

Wrócił chłopiec i przerwał dziwny tok moich myśli. Usiadł przy mnie na lawce. Wiatr nad głową nam szumiał. Opowiadać zacząłem o Warszawie. O Wiśle. A on słuchał z przejęciem, choć niewiele rozumiał. I przesiadł tak ze mną długo. Prawie do zmroku. Wstałem z ławy i rzekłem: „Czas nam iść, panie Piotrze...” A on dojrzał widocznie głupią łzę w moim oku: „Don't cry...” — szepnął. I dodał: „I am Polak...” — i odszedł.

I am Polak

Ireneusz J. Kamiński

Pan Jan Jachniewicz: postawny mężczyzna rodem z Krzemieńca, który do USA również trafił przez hitlerowski obóz jeniecki, aby zostać ostatecznie fotografem w wielkim banku nowojorskim i uczyć polszczyzny w szkole imienia Konopnickiej mówi:

— Robiłem też zdjęcia kardynałowi Wojtyłce, który odwiedził Greenpoint w 1970 i 1976 roku, fotografowałem pobyt w USA Jana Pawła II. Oto listy, w których kardynał dziękuje mi za przesłany album i inne zdjęcia.

Rozmawiamy w domu pana Jachniewicza. Z zewnątrz budynek przypomina wypucowany dom lalek, wewnątrz okazuje się być niespodziewanie obszernym i wygodnym, zresztą jak wszystkie znane mi dotąd „domki jednorodzinne”, w których chyba każdy decymetr powierzchni był racjonalnie wykorzystany. A propos: w samym centrum Manhattanu widziałem coś niewiarygodnego, bo wznoszenie drapacza chmur — sądząc po niezwykle głębokich wykopach fundamentowych i grubości stalowych konstrukcji — bez zakłócenia ruchu ulicznego, w miejscu szalenie otoczonym przez inne wysokie budynki. Gdyby nie ogrodzenie, każdy przechodzień mógłby dotknąć dłońmi stalowych belek budowy, tak były blisko. Zresztą, specjalne otwory w płocie umożliwiały obserwowanie czy podziwianie tego, co działo się na placu o bokach 40 na 30 metrów.

Rozmawiamy o różnych sprawach, ale najważniejszą o owej szkole imienia Konopnickiej, która powstała w 1920 roku. Początkowo uczęszczało do niej 28 dzieci, później znacznie więcej, bo od 150 do 200, podczas wojny i bezpośrednio po jej zakończeniu liczba uczniów gwałtownie zmalała, aby rosnąć od roku 1952. Dziesięć lat temu do szkoły chodziło ponad 230 młodych Polaków, ale obecnie — o 50 mniej.

— Nowa Polonia wynaradawia się szybko, sporo Polaków opuszcza Greenpoint.

Szkoła ma charakter społeczny, 130 rodzin płaci na jej utrzymanie po 32 dolary rocznie, bez względu na liczbę posiadanych dzieci, które języka polskiego, elementów historii i geografii ojczyzny oraz naszych tańców i piosenek ludowych uczą się tylko w soboty, przez dwie godziny.

— Za te dwie godziny nauczyciele otrzymywali wynagrodzenie w wysokości półtora dolara (30 lat temu) później — trzy dolary, obecnie — 10 dolarów, co młodszym wydaje się mało, więc domagają się podwyżek. No dobrze, ale skąd wziąć te dwa tysiące dolarów, jeśli każdemu podnieście się o pięć dolarów?!

Od momentu założenia szkoły do roku 1958 wszystkie zajęcia odbywały się w polskim Domu Narodowym 261

Kawał świata utonął

Na poloninach, Wetlińskiej i Caryńskiej, i dalej na całym Przedgórzu Bieszczadzkiem, i na wschód, w Beskidach rzeczywiście szalał żywioł. Spływające nagłe — po jednym, drugim, dziesiątym oberwanu chmury — kaskady, rwące w dół piekło wodne, niszczące lawiny zamiast rzek, strumieni i potoków. Ale dalej Wisłoka, Wisłokiem i Sanem, do Krosna, ku Debricy, do Mielca, do Przemysła, Jarosławia i Sieniawy, po Stalową Wołą i Tarnobrzeg to już nie był żywioł, lecz owa powódź obrzydliwa, brudna, zatapiająca i rozplynięta wokół.

Chmury urwały się 23 lipca o czwartej rano, a do szóstej ściany ulewę naszpikowały bieszczadzkie wzgórza prującymi rzekami. Widać było jak solńskie jezioro puchnie. Co sekundę przybywało mu milion litrów. Przez te dwie godziny w suchej dolinie zrobiłoby się jezioro o czterokilometrowej linii brzegów i na kilkanaście metrów głębi. A Solina już przedtem była pełna.

Przez zaporę spuszczano do zbiornika myczkowieckiego i dalej do Sanu jedynie czwartą część przyboru wód. Znaczenie za mało. Zbyt powoli. Nie dziwnego więc, że po trzech dniach ulewę beton w zaporze zatrzęszczał. Otworzono przepusty. Wodospad, co przedtem ugrzązł w jeziorze, teraz chlusnął w zbiornik myczkowiecki i w San. Także milionem litrów na sekundę, czyli jak z tamtego oberwania nieba. W piątek, 25 lipca, w kierunku Sanoka, Przemysła, Jarosławia, Sieniawy i Stalowej Woli brzegi Sanu rozepchnęła fala jak czołg. Za nią przyczaiła się następna.

Wyprzedzały je telefoniczne ostrzeżenia, a ludzie zaczęli na wałach ściubolić worki z piaskiem.

Koło Sanoka fala huknęła w drewniany most i zaczął on płynąć do Przemysła. A przed nim i za nim chałupy, zwierzęta, bale drzew, wyplukane kloaki i co tam było po drodze. W Przemyslu wyłowili ludzie drącą się na całą mordę krowinę, nie wiadomo czyja.

Już w sobotę poszedł po mieście alarm, że woda rozpląta Przemysł na pół. Jedyny most drogowy dostał od uderzenia przyboju wariackich wibracji. Ludzie z lewego brzegu, z Zasania, rzucili wcześniej robotę. Przechodzący mostem czuli tętno betonowych konstrukcji. Mocniej trzymał się most kolejowy, ale skazańcem z wyroku na-

tury była kładka, położona w miejsce rozebranego w ubiegłym roku wiszącego mostu drogowego i dotąd nie przywróconego miastu. Ludzie uparli się utrzymać ją i to się udało. Główny most też wytrzymał. Tamten spod Sanoka rozbili saperzy na rzecze.

W centrum Przemysła strzegły okazałych kamienic, wystawnych sklepów, głównych urzędów i ulic mury wałów, usypane na pięć, sześć metrów. Ale przy końcu miasta lewy brzeg Sanu jest niski. Rzeka wypuczyła się o cztery metry, więc menisk wpłynął swobodnie w głąb łąd i rozlał szeroko, aż po ulicę Brata Alberta. Stoi tam Dom Pomocy Społecznej i nieco dalej szpital wojewódzki.

Fala zalała dom „Caritasu” o dziesiątej w nocy. Mieszkają w nim ludzie często nieświadomi nie tylko powodzi, ale świata w ogóle, a siebie najmniej. Lecz gdy woda na parterze zalewała ich sale, nie chcieli przenosić na piętro. Wielu czepiało się łóżek w obronie jedynych spokojnych miejsc w ich życiu. Zaciśnięte palce rozwierano siłą. Była tam noc, rumor i topiel. To wywlekło z ludzi zaleczone modlitwą i farmakologią demony strachu i obłędu, hysterii i zagrożonej starości. Tych z „nawrotami” wywożono amfibiami. Pielęgniarki niosące pomoc same uciekały z piaskiem na schody przed szamoczącymi się w wodzie sznurami. Światem woda stanęła. Sięgała do parapetów okien na parterze. W nocy na ulicę Brata Alberta trzy razy przypląnął amfibią prezydent Przemysła. Z pomocą.

W kilka dni potem, po spływie odłonił się parkiet w salach, wybulony w twarde pagóry, wyższe od rozbitych w drobiazgi szaf, stołów, łóżek; odkryła się bryja, która służyła przedtem za ogród warzywny i kwiatowy. Spada on łagodnie prawie nad rzekę. W tym miejscu brzeg o wysokości ledwie trzech metrów nie ma żadnych umocnień. Ten dom pomocy był bezbronny.

Stary człowiek stał na moście patrząc w kipiel.

— Ja przemyski, ale takiej wody od 1941 nie widział — przypomniał sobie.

W samym środku powodzi miasto

zostało bez wody. A jeszcze później szlag trafił główną magistralę wodociagową. Tę założoną dziesięć lat temu, którą trzeba trzydziści razy w roku naprawiać. A „dziadek”, drugi wodociąg, założony za cesarza Franciszka Józefa, od dziesięciu lat nie nawalił ani razu. Awaria na długie dni zabrała wodę trzeciej części miasta. A tu koparka, pożyczona przez „wodociąg” z innego przedsiębiorstwa, zepsuła się. Dyrektor Chabaniewicz i brygadziści kombinowali smętnie nad wykopem.

— Panie Adamie, ta to nie ma co, zrobimy pomost.

Pomost guzik pomógł. Ludzie na górkach jeszcze w sierpniu pieścili ręczne pompy. Albo kapali się o trzeciej w nocy. Do prezydenta miasta nie było co alarmować, bo wyjechał na urlop.

Ale jeden człowiek w województwie powodzi nie ustąpił. Zalanych zostało 50 tysięcy hektarów pół i łąk; z niemal połowy nie da się już w tym roku niczego zebrać. Zboża wyglądały jak koltun, szare, zdechłe i jak wodorosty wyciągnięte z biegiem Sanu. Rzeka rozlewała na cztery kilometry wszęź. Kartofle były tylko wspomnieniem czegoś żywego, zielone pędy i bulwy zgniły po dwóch dniach. Pozrywało nasypy spod dróg, ulewę i nowo narodzone z nich rzeki na zawsze zgruchotały wiele szos. „Cofka” — wsteczna fala w dopływach Sanu — rujnowała pola daleko od głównego nurtu. Dorosli mężczyźni przyznawali się do leż w obliczu głęsi. A jeden człowiek powiedział, że cholera z powodzi i domu nie opuści dla takiego głupiego powodu.

Zeby się do niego dostać trzeba było płynąć łodzią.

Niedaleko Sieniawy, gdzie utopiło cegielnię aż po dachy zmarnowało się milion cegieł, w dół Sanem od Tryńczy, ledwie wystającej spod burej mazi, od Leżachowa, co w ogóle nie był do zobaczenia spod wody tuż za podtopionymi Piganami leży Kępa. Stoi na niej pięć domów. Z czterech ludzie uciekli, ale w piątym żyje z rodziną Stanisław Kurecki. Ten właśnie, co się na powódź zaparał.

Z nim mieszka żona (złoty ślub im minął ze trzy lata temu), córka, zięć

i trzy wnuczki. Dziadek Kurecki swój wiek przeżył na Kępie. Trzy powodzie tu widział — w 1928, 1941 i tę ostatnią. Najgorzej było jak woda podchodziła trzynaste raz, to teraz miał się bać dwóch podejść?

Uciekli z Kępy, bo musieli: Grochowa z synem, Lutowie, Sawa i Bożek, Kurecki został Dom ma piętro, solidnie podpiwniczony. Do ostatka dziadek stał na wale. Nawet jak wąż przerwało, ratował jeszcze. Przez kretowiska spod wału waliły fontanny, worków nie dało się na niego kłaść za dużo, bo rozmiękł. Na polu jedyny Krokus z Pigan przy rwanu cebuli się zaharukał i powodzi nie widział. Ludzie go zawołali i dopiero wtedy uciekał.

Między Piganami a Kępą woda. U brzegów łódki. Jedną z nich, wąską jak widelec i kolebiącą się niemiłosiernie, popłynęliśmy z panią Grochową na Kępę. Płynęliśmy nad pastwiskami, nad plotami. Ona z przodu, wskazująca drogę między koronami drzew, zaplakana i wpatrzona w daleki za rozlewiskiem swój utopiony dom. Kobieta opowiadała swój los — męża nie ma, ona dwa lata w szpitalach, płuco jej wycięli, a powódź ją dobiła. Od wody chłód, choć już się zaczęły te popowodziowe upały. Nawet, psiakrew, romantycznie, cicho, spokojna toń, a tam w dali topieliskiem okrojona do szczytu Kępa.

Na brzegu rozmiękla mada — nanieiony szlam, szary, śliski, a gdzieś niedługo już spękany, jak żółwia skorupa, rozsadzona od środka. Cała ziemia przy Sanie tak zostawała, obsychając, zamadzona.

Kurecki z zięciem ratowali dom obłożwszy okna piwnic blachą i workami. Byłoby to im nie wyszło na zdrowie, bo pod fundamentami są rury kanalizacyjne niebetonowane. Tamtędy woda wlała do piwnic. Przy uszczelnionych oknach dusiła powietrze do sufitu. Zrobił się babel ciśnieniowy, a dom telepał się w posadach. Zięć, Jarosław Chodeń, sprytnie uratował budynek.

— Woda zaczęła boruczyć i zaczęło powietrze świszczyc. Ja do piwnicy. Liczyłem że to prad zwarcie zrobił. Tak słyszę powietrze świszczyc przez dziurkę od klucza. Tak sprężyło.

Jak filmować historie?

Dokończenie ze str. 1

będzie bardzo pomocny w dyskusji. Traktując więc „Wyrok śmierci” jako szczególnego rodzaju pendant do naszej rozmowy, chciałbym przede wszystkim zwrócić panów uwagę na problem, jak funkcjonuje prawda historyczna w fabularnym filmie historycznym? Okazuje się, że nie jest to problem prosty. Nawet w filmie dokumentalnym sam tylko kąt widzenia kamery, nie mówiąc już o takich sprawach jak montaż poszczególnych ujęć czy scen, może całkowicie zmienić wymowę oglądanego na ekranie wycinka rzeczywistości. Jak to więc jest z filmem jako już nie: źródłem, ale — obrazem historii? Jak filmować historię, aby nie zagubić prawdy historycznej?

Witold Orzechowski: — Jeżeli „Wyrok śmierci” ma służyć za punkt wyjścia do rozważań natury ogólniejszej, to chciałbym zaraz na wstępie zauważyć, że ja traktuję ten film jako dramat psychologiczny oparty na realiach historycznych.

Zygmunt Mańkowski: — Historia służy w „Wyroku śmierci” jako pretekst do pewnego dramatu.

MD: — Ale ten „pretekst” zaznacza się bardzo silnie w filmie i gdyby był słabszy oraz mniej realny, „Wyrok śmierci” nie miałby — jak sądzę — większej racji bytu.

WO: — Co pan rozumie przez określenie: „realny”? Czy — „realistyczny”? Bo te dwa pojęcia są bardzo różne. Kiedy przedstawiłem scenariusz „Wyroku śmierci” doc. Mańkowskiemu do oceny historycznej, powiedział: film, odwołując się do realiów sprzed lat, ma zarazem prawo do pewnej kondensacji. Inaczej mówiąc: dla filmu osadzonego w historii ważnym jest przede wszystkim, żeby widz zrozumiał generalnie pewną epokę i jej problemy. To jest dla reżysera naczelna sprawa, a nie — bezustanne czuwanie, czy jakiś ślup, budynek lub drzewo stały akurat sto metrów w prawo czy w lewo od zaistniałego w historii wydarzenia, do którego odwołuje się obraz filmowy. Czy miałem zrezygnować ze zdjęć lubelskiego Zamku tylko dlatego, że dzisiaj jest on otynkowany na białe, odrestaurowany, a w latach okupacji był szary, otoczony drutami kolczastymi? Lubelski Zamek jest w filmie pewnym symbolem, znakiem rozpoznawczym. Może jego dzisiejsze zdjęcie razić lublinian, i to tylko tych, którzy pamiętają lata okupacji. Ale na ile będzie to ważne dla mieszkańca Krakowa czy Łodzi? Lub obywatela innego kraju, do którego film dotrze? Ważne jest przede wszystkim, żeby otrzymał on obraz epoki. A jeżeli chodzi o istotę filmu historycznego, to chciałbym przytoczyć zda-

nie profesora Franciszka Ryszki, który twierdzi, że dla niego, jeżeli film nawet nie odpowie na pytanie: „jak było”, ale określa „jak być mogło” — jest to już film, który można nazwać mianem historycznego.

Józef Szymański: — Na wstępie naszej dyskusji podniesiono sprawę prawdy historycznej w filmie. Ja myślę, że chyba w ogóle nie można pytać o prawdę na styku: Historia — Sztuka. Stawianie problemu: „prawda historyczna a prawda artystyczna” jest, wydaje mi się, bardzo niebezpieczne. Film nie może na przykład pokazać „prawdy — w sensie prawdziwości — ówczesnej”, okupacyjnej prawdziwości — Zamku Lubelskiego itd., itp. Natomiast jest w stanie — i wydaje to mi się rzeczą bardzo interesującą — oddać „mentalność” (jak to określają Francuzi) — mentalność, stany duchowe, sposób zachowania, skalę wartości i reagowania na nie ludzi pewnej epoki. Film może próbować wnikać w osobowość, w sposób myślenia ludzi, którzy żyli i działali przed laty w określonym środowisku. Może to jest właśnie najważniejsze dla istoty filmu historycznego?

WO: — Czy zauważyli panowie w „Wyroku śmierci”, jak nacisk pewnej grupy ludzkiej (okupant) rzutuje na sposób myślenia innej grupy, w tym wypadku Polaków znajdujących się pod okupacją? Oto problem dla reżysera: wnikać w tamtą naszą okupacyjną mentalność.

JS: — To by się wiązało także z teorią zachowań...

ZM: — Można na przykład uwspółcześniać „Hamleta” — zresztą robiono to niejednokrotnie — dostosowywać jego myślenie do sposobu myślenia ludzi współczesnych. Ale jak bardzo ciekawe byłoby przedstawienie, w którym Hamlet zachowywałby się w sposób szesnastowieczny, w ten sam sposób, jak myśleli autorzy i aktorzy teatru elżbietańskiego?

WO: — Wydaje mi się, że tworząc film, który odnosi się do pewnej epoki historycznej, musimy mieć na uwadze fakt, że trafi on najprawdopodobniej do widzów w różnych krajach, i że on

Tknął drzwi i powietrze wyrwało mu je z dłoni. Ustąpiło. Została tylko woda.

Ratowali bydło i barany. Każdego barana w sześciu ludzi pchali na strych stajni. A one się darły i nie chciały leżeć, durne. Dla krów zbudowali podest, bo już zwierzątkom brzucho topiło. Ledwie się krowy poskuły na podeście pod sufitem. Wojsko z amfibii przyplętnęło i kapitan rozkazał krowy ewakuować, skoro Kurecki sam nie chciał iść. Na siłę bydło zabrali, ale dziadek, znawca, mówił, że dalej woda nie pójdzie. I faktycznie nie poszła.

Zalala traktor z kołami, siano na przyczepie, wlała się do kuchni stajennej, ale tylko do popielnika, więc, że ruszta były suche, gotowali dalej dla gązdy. W poniedziałek woda stanęła „w mierze”. Potem opadła do soboty.

Popłynęli do sąsiadów domy oglądać obok stojące. Rozpacz brała. Tyle się ludzie opracowali, tyle lat, a tam za oknem w pokoju wersalka pływająca, psycha chodziła jak łódka po chałupie, krzesła, stoły.

Na polach zostało błoto.

— Wziąć kłósko to więcej mady niż zboża. Ale czy z mada, czy nie, trzeba zebrać część tych ziarek.

Krów długo nie dali trzymać w Piganach. Przeprowadzili po trzech dniach. Ludzie płynęli, a krowy szły po brzuchy w wodzie za łódką. Gdy woda zeszała z podwórka, znieśli barany ze strychu. Powódź ustąpiła, a oni nie.

Na łąki popatrzeć wtedy — jedno jezioro.

— Zanim się zabierzemy do jakiegoś siana, to nas zima znajdzie. Ogrózenie trzeba nowe robić, żeby barany wyszcigać na paświsko. Ale nie wiadomo, czy trawa wybije.

Wróciliśmy z panią Grochową tym samym szlakiem. Ona bindowała w Piganach, świnia jej u Płóci, krowa u Muchy. Dobrze, że dobrzy ludzie się zlitowali.

Jedna, jedyna pociecha, że ta mada, co została na polach to najżyźniejsza ziemia, rodzic będzie na przyszły rok znakomicie.

A tej wody, co poszła z powodzia na zmarnowanie to, prawdę mówiąc, żal.

9 sierpnia 1980

Bronisław Kowalski

Janusz Olezak

HAMLET W KARCZMIE POD BYKIEM

Tej sceny brakło w piątym akcie żartami bawił tłusty opój pieszczoty dziewczki pod szynkwasem pomiędzy słowem i milczeniem jest jeszcze belkot pieśń plugawa nawet Horacy wznosił toast za zdrowie pana Gildensterna na vivat imci Rozenkranca

OBRAZEK PAŹDZIERNIKOWY

Dzień ten mi przyniósł także trochę smutku, z którego dumny jestem jak z odznaczeń. Za oknem warczał rozeźlony motor wiatrami szarpał wytworny październik i to zdumiało mnie także niezmiernie.

Deszcz turlał po szybie kropelki goryczy i nagle szczęścia wychyliłem kielich. Następnie z kumplem poszliśmy na piwo. Twarz przyjaciela w purpurze indyczej, więc spokój ducha znowu diabli wzięli. No i bogom dzięki, choć tu się nie płacze, żeby pięknym kelnerkom nie robić kłopotu.

Panienko nasza śliczna, przyjmij, proszę, podziękę za to, że uwodzisz i za to, że kusisz, przyjmij stokrotne dzięki jak czerwony banknot, z którego reszty wydawać nie musisz.

SONET SOGDYJSKI

Mój dawny kamrat powrócił z Sogdiany, gdzie był odjechał w czasach Mahometa. Skromny, serdeczny, choć przyłóż do rany, i co najciekawsze, prawdziwy poeta.

W ten to sposób z wieków nieistnienia powróciłeś znowu do historii. Spójrz, jak życie wciąż się nam odmienia, i jak wciąż trwa w biologicznej glorii.

Kim teraz jestem? Tak, bio-historykiem. Grzebię cię ciągle w mikrobach, gigantach, dlatego może wyglądam jak dandys. Pozwól, że będę twoim przewodnikiem, choć byłeś u nas już kiepsko po jantar. A zatem witaj poeto z Samarkandy!

Sławomir Gołaszewski

nie zaprosiliście mnie do tego świata gdzie etno nie umie odszepnąć imienia bez strachu posądzenia o zniewagę czy grzech gdzie wiatr niosący suszę jest czy staje się społecznie użyteczny nawet pożądany a wiatr z północy pozostaje bez nazwy bo nie wiadomo czy jest za czy komu gdzie karłowate sosny zasłuchane w harmonię wagnera kryją się po górach pośród wspomnień o smukłości garina de loherain i gdzie nawet kamień nie może pozostać w swej nieuchronnej prostocie

Maria Ballod

NOC

Na granicy granatu i bieli szerniałej a granat najostrzejszy jak okien kwadraty wstawione w przestrzał jasne strużyny majaczeń przekroje fałd nawisłe okapy przestrzeni upiętej gwiazd szpilkami — szarża odległości gdyby nie stopy zmarzłe gdybyż nie firanki natrętnie zamieniały wieczność tylko w zachwyty

będą go próbowali odczytywać jako obraz pewnej epoki w ogóle. A więc chodzi może przede wszystkim o pokazanie prawdy o pewnej epoce, nie tylko w wymiarze poszczególnego kraju. Film osadzony w polskiej rzeczywistości okupacyjnej odnosi się wszak do ogólnoeuropejskiej, czy nawet — ogólnoswiatowej sytuacji czasu drugiej wojny. To tak, jak na przykład z malarstwem holenderskim: oglądając obrazy starych mistrzów niderlandzkich, dowiadujemy się bardzo wiele o otaczającej ich ówczesnej rzeczywistości, ale zyskujemy także wiedzę o żyjących w przedstawianym pejzażu ludziach, o ówczesnym człowieku i jego relacjach ze światem.

ZM: — W bardzo ważnym — moim zdaniem — filmie, jakim jest „Wyrok śmierci”, fikcja artystyczna splata się z realiami epoki. Zadajmy sobie teraz pytanie: na ile, w jakim stopniu te realia epoki muszą być dokładne w filmie historycznym. (W „Siódmej pieczęci” Bergmana widzimy, jak Rycerz gra w szachy ze Śmiercią i jest to obraz „nierealny”, bo przecież taka sytuacja nie mogła się zdarzyć; to poetycka metafora, ale niesłychanie celna dla klimatu). Otóż: co z tego, że w wielu filmach, także polskich, całe armie konsultantów pracowały nad tym, jak naprawdę wyglądały zapinki u butów, które nosili dworzanie, czy odtworzano z najwyższym pietyzmem splot tkaniny, z jakiej sztyto stroje niegdysiejszych rycerzy, skoro w efekcie filmy te okazywały się chybione, zarówno pod względem artystycznym, jak i ukazywania określonej epoki. Tymczasem gdy w „Wyroku śmierci” oglądam próbę pokazania, co się może dziać z „fikcyjną” jednostką poddaną straszliwej presji „realnych”, bo wszak istniejących, trybów historii, to...

MD: — Czy jednak czasem „fikcja” nie bierze górę? Scena, gdy chłodny i zawsze opanowany Nurek zaczyna nagle na dworcu w Lublinie strzelać historycznie do Niemców... Czy tutaj reżyser nie potrzebował po prostu mocnego, „dynamicznego” przerywnika w swojej psychologicznej opowieści?

ZM: — To nie jest tak. Dam przykład całkowicie realny; fakt autentyczny z czasów okupacji: przyjechali pewnego dnia do Lublina dwaj młodzi

ludzie z Warszawy z zadaniem zastrzelenia tutejszej konfidentki. Przyjechali wykonać ten wyrok, bo nikt w Lublinie nie chciał, nie mógł tego zrobić. Między innymi dlatego, że nie wszyscy wierzyli, iż jest ona konfidentką, dlatego też, iż była ładna, przystojna, młoda — i jak tu do takiej strzelać? Ci chłopcy z Warszawy mieli bardzo mocne nerwy: wykonali zadanie, potem jeszcze wykonali zadanie uzupełniające — wysadzili w powietrze wieżę ciśnień. A potem nagle ci swe go rodzaju „specjaliści”, zaczepieni przypadkowo przez niemiecki patrol, zaczęli strzelać do Niemców i w efekcie w sposób bezsensowny, zupełnie przypadkowy, zostali obaj zabici. Mentalność, psychika, sposób reagowania zmienia się szalenie u ludzi, którzy są poddani ciągłym nerwowym presjom, i nie przykładajmy do ich zachowań naszej logiki, obowiązującej w zupełnie innych czasach i warunkach. (Pisał o tym T. Nowak w przejmującej książce „A jak królem będziesz a jak katem będziesz”). Trzeba o tym pamiętać, zarówno tworząc filmy, jak i oglądając je.

JS: — Rozdrabniamy tutaj sprawy „ścisłości” i „nieścisłości”, zgadzamy się, że zbytnia drobiazgowość wychodzi filmowi historycznemu raczej na złe, niż na dobre. Ale trzeba pamiętać, że reżyser, kręcąc film sięgający do historii, musi się liczyć ze świadomością historyczną społeczeństwa. To wielu reżyserów w jakimś sensie krępuje, ulegają tej „świadomościowej” presji. W „Wyroku śmierci” dostrzegam rzecz bardzo ciekawą: otóż reżyserowi chodzi przede wszystkim o wyjaśnienie pewnych procesów historycznych, które zachodziły. A więc mamy tu sprawę eksplikacji procesu historycznego, a nie — opisywania procesu historycznego. Orzechowski szuka też pewnych prawidłowości, jakie rządziły ówczesnymi wydarzeniami i to mi się wydaje bardzo ważne w filmie historycznym. Nie wkraczam na teren artystycznych walorów filmu, bo nie o tym mieliśmy rozmawiać.

WO: — Na przykład idąc w czółwce filmu sceny rozmów Generalnego Gubernatora Hansa Franka na Wawelu, jego wypowiedzi, wprowadzając pozornie nic nie mają wspólnego z akcją filmu, ale bardzo wiele wyjaśniają, jeżeli chodzi o sto-

sunek okupanta do podbitego kraju, wprowadzając widza w klimat okupowanej Polski.

ZM: — Gnębi mnie jednak problem, na ile wiadza, tego lubelskiego widza, będzie frytował fakt, że pewne „lubelskie” sceny były kręcone w scenerii zamojskiej i na odwrót, bo tak wynikało z potrzeby scenograficznej i reżyserskiej, a przecież widz zna „swoje” ulice.

MD: — Ale, panowie! Ciągłe tutaj odzegnujemy się od przesadnego skupiania się nad „realiami”, i wciąż do tych „realiów” uparcie wracamy!

JS: — A bo to potwierdza moje przekonanie, że my, Polacy, jesteśmy uwikłani w historyzm.

MD: — Tak czy inaczej, na przykładzie filmu pana Orzechowskiego możemy powiedzieć, że zaczyna się zaznaczać u nas pewne nowe podejście do problematyki historycznej w filmie, że film wychodzi do widza z nowym, dla niego, sposobem patrzenia na historię, z nowym jej filmowaniem, i że... bardzo ciekawe, jak to zostanie odebrane przez widzów.

JS: — Zastanawiam się jeszcze nad jedną sprawą: na ile, to, co przedstawił na ekranie Witold Orzechowski, odpowiada badaniom modelowym. Ile jego dociekania mają analogii z badaniami współczesnego historyka. Bo „Wyrok śmierci”, w jakiś sposób odpowiada pewnym nowym kierunkom badań historycznych. Są w nim elementy nowoczesnego myślenia historycznego.

WO: — Ta dyskusja jest dyskusją historyków z artystą, i na odwrót. Ja się w tym filmie wypowiadałem przede wszystkim jako artysta.

JS: — Ale, idąc swoimi drogami, stykamy się jednak na pewnym kierunku: bo chodzi nam o pewien wspólny cel — dążymy do wychowania społeczeństwa, mamy na względzie dostarczenie mu przesłanek do oceny otaczającej go rzeczywistości.

Dyskusję notował
Miroslaw Derecki

Powroty

TOM opowiadał Zbigniewa Dominy jest opowieścią o wędrowce kilkunastoletniego polskiego chłopca z dalekiej syberyjskiej tajgi do ojczyzny. Czas wędrowki to okres II wojny światowej.

Książka przeznaczona jest zarówno dla odbiorcy dorosłego jak i młodego; elementy przygody, w jakie obfituje ten długi marsz, łączą się bowiem tutaj z autentycznym tragizmem wojny. Nie ma w tych opowiadaniach walki zbrojnej, śmiałych ataków żołnierzy, bomb i czołgów; akcja całej opowieści dzieje się daleko od linii frontu. Są natomiast widoczne efekty wojny: samotne kobiety z dziećmi, okaleczeni mężczyźni wracający do rodzinnych wsi, a przede wszystkim urzędowe pisma, które ciągle przynosi listonoszka; zawiadomienia o śmierci mężów, ojców, synów. Bohaterowie opowiadań, głównie starsi mężczyźni, kobiety i dzieci oczekują na wiadomości z frontu, ale przecież także pracują, smucą się i weselą. Rzecz można, iż wojna, mimo swojego okrucieństwa, nie może całkowicie zdeterminować życia, które toczy się ciągle. Humanistycznym akcentem tych opowiadań jest stała afirmacja życia; dostrzeganie rozkoszy, jaką daje kąpiel w zimnej wodzie po wyczerpującej pracy przy sianokosach, fascynacja młodzięczych uczuć, rodzenie się przyjaźni w dramatycznych sytuacjach, uroki wspaniałej syberyjskiej tajgi.

Owa afirmacja życia kształtuje również postawę głównego bohatera, którego dzieje są często okrutną, prawie zawsze trudną, ale jednak — przygodą, uwieńczoną powrotem na ziemię polską. Dopiero wtedy okrucieństwo i niewygody przestają istnieć. Pozostaje tylko żywotne, biologiczne wprost potwierdzenie miłości do własnej ziemi, do jej owoców (nawet w dosłownym rozumieniu), co ilustruje zakończenie ostatniego opowiadania tomu: „Są i moje wysnione jablonie! Brzemienne ciężarem dorodnych złotozielonych owoców uginają się gałązki... Zataiwszy oddech zbliżam się, wspinam na palce, wyciągam ręce, które omijając gęstwinę liści otrząsają raną rosą i obydwie dłonie podstawiłam pod owoc... Oszołamiający, dawno nie znany aromat zatykał nozdrza i mącił w głowie. Nie wierząc jeszcze, że sen stał się jawą, wpiłem się zębami, wessałem spragnionymi wargami w słodki, soczysty owoc i runąłem w mokrą poranną świeżość i słoną od łez, wysoką trawę...”

Charakterystyczne, że antidotum na cierpienia ludzkie, cechą świadcząca o przetrwaniu życia na przekór śmierci, jaką niesie wojna, jest żywotność, dostojność i artystyczne piękno przyrody: drzewa pełne owoców, odwieczna tajga, przecinająca ją potężny Jenisej, baraszkujące wesoło niedźwiadki... One świadczą o niezmienności praw życia. Dlatego, mimo iż wielokrotnie w opowiadaniach wspomina się o czyjejś śmierci, nie jest celem książki ukazywanie okrucieństwa, budzenie rozpacz. Przeciwnie, ma ona cierpienia łagodzić, ukazując ich zwyczajny, ludzki, nie tylko napiętnowany wojną wymiar. Ból, rozterka nie alienują, ale łączą ludzi, przez co lżej znosi się sytuacje rodzące uczucie żalu. Nawet, gdy główny bohater otrzymuje wiadomość o śmierci ojca, nie pozostaje on osamotniony w swoim smutku. Jego los łączy się z losem innych, których życie jest równie dramatyczne, a słowa otuchy nabierają charakteru osobistego związku, są deklaracją przyjaźni.

Przeżycia, jakie stają się udziałem bohatera, są twardą, męską szkołą życia, w której śmierć, niebezpieczeństwo, ciężka praca, głód są zjawiskami codziennymi. Zaletą opowiadań jest to, iż mimo owej surowości zachowały one tak ważną dozę liryzmu, często połączoną z humorem, chociażby to był nawet śmiech poprzez łzy. I nie chodzi tu tylko o liryczne opisy przyrody, ale o dostrzeganie w ciężkim, pełnym niewygody istnieniu — poezji.

Poetyzacja przeżyć, zarówno dobrych jak i niepomyślnych, jest obroną przed nihilizmem, przed okrutną absurdalnością wojny. Chroni ona zarówno bohatera książki, który tak pojmując życie, jak i czytelnika, który z tak skonstruowanymi sytuacjami i postaciami obcuje. Dlatego sądzę, że opowiadania te niosą wartości istotne zarówno dla dorosłego czytelnika, traktującego często różnego typu przeżycia bez domieszki liryzmu, jak i dla odbiorcy młodzieżowego, który styka się tu z przygodą trudniejszą i dobitniej pasującą młodego chłopca na mężczyznę, niż typowa powieść przygodowa, w której owo „udoroślanie” ma przezwyciężyć charakter zabawowy.

Nie znajdziemy w książce Dominy przedstawienia struktury wojny ani wnikliwych analiz psychiki ludzkiej w obliczu cierpienia. Takie stany sygnalizowane są kilkoma obrazami. Zachowania bohaterów są także dość typowe; płaczą gdy dowiadują się o nieszczęściu, a śmieją w sytuacjach radosnych. Nie wydaje się jednak, by świadczyło to o uproszczonym widzeniu świata, człowieka. „Cedrowe orzechy” nie są bowiem studium społecznym czy psychologicznym wojny; przekazują prostą, ale przekonującą wizję świata, w którym ból miesza się z pięknem, smutna melancholia z radością, a cierpienie może być łagodzone przez dobroć ludzką.

Andrzej Niewczas

Z. Domino, „Cedrowe orzechy”, Opowiadania syberyjskie, Wyd. MON, W-wa 1982.

Jednak przewaga popytu nad podażą działa swoje.

Myszę że nie tylko w tym, iż zapasy są niższe od dopuszczalnych i nawet gorsza książka znajduje łatwo nabywcę, tkwi przyczyna sytuacji. Placówki są ciasne i mają za mało pracowników. Na jednego z nich przypada dziennie w większych księgarniach po 200—250 kupujących. Podzielmy to przez 480 minut, a łatwo spostrzeżemy, że jednemu nabywcy można poświęcić nie więcej niż dwie minuty. A przecież drugie tyle osób odchodzi bez zakupu. Im też trzeba odpowiadać — nie raz, nie dwa — te przykre słowa: już nie ma. A przecież księgarz ma prawo zjeść drugie śniadanie, umyć ręce, przez kilka minut odpocząć, więc ta średnia na klienta, który wyszedł z najmniejszą choćby paczuszką, spada w rzeczywistości do minuty. Już wcale nie można skąpić czasu dziecku — obojętnie: przyjdzie samo, czy z rodzicami — i młodzieży, więc...

Wielokrotnie słyszałem od

Vetterów. Wśród kandydatów są także ludzie z pełnym wyższym wykształceniem. Tymczasem nowych placówek otwiera się rocznie po dwie — trzy, na emerytury odchodzi niewiele osób, etatów przybywa mało.

Nie płace teraz przyciągają do pracy w księgarstwie, bo w zwykłym handlu, szczególnie agencji, można zarobek przynajmniej podwoić, a frontowi pracownicy „DK” zarabiają średnio cztery tysiące złotych. Są pracownikami umysłowymi, nierzadko o wysokiej specjalizacji, a równocześnie ciężko tyrają fizycznie, dźwigają z piwnic lub z zaplecza ogromne paczki, opasłe tomiska. Istnieją jednak w księgarstwie czynniki przyciągające, których nie ma gdzie indziej. Spora część nabywców to elita danej miejscowości i okolicy, która z księgarzami zawsze żyła i żyje w przyjaźni, sporej życzliwości: zarówno wówczas, gdy książka szukała czytelnika, jak i obecnie, gdy jest rarytatem. Profesor uniwersytecki i

KSIĘGARZE

Tadeusz Jasiński

do centralnej składnicy, by w drodze wtórnych zamówień wydrzeć dodatkową partię tytułów i egzemplarzy. Uduje się też wprost do wydawnictw, aby i z ich rezerw coś uszczknąć. Są to jednak zabiegi mało owocne. Dlaczego?

Odpowiedzi wydają się znane i proste: tytułów, być może, ukazuje się dosyć i obejmują one najlepsze dzieła twórczości różnych dziedzin, ale nakłady są o wiele za niskie. W okresie bezpośrednio powojennym i spory jeszcze czas potem — było nas wtedy zresztą o 10—12 milionów mniej — ówczesne nakłady nasycały i przesycały potrzeby, nadrabiały okupacyjną przerwę wydawniczą w masowych i tanich edycjach. Średnią ośmiu książek, jakie przypadają w latach pięćdziesiątych na jednego mieszkańca, pragniemy znowu przywrócić za pięć lat. Przewiduje to uchwała VIII Zjazdu partii. Problem jednak pozostanie, powrotu do stanu sprzed ćwierć wieku — choć będzie osiągnięciem — nie można uznać za postęp. Księgarz, czytelnik i bibliotekarz nieprędko odzyskają dawny wpływ na wydawcę, a powszechne dziś porzekadło pozostanie w mocy: co dostajemy, to sprzedajemy!

Starsi księgarze już teraz kłopotą się o swoich młodych kolegów. Powyższe porzekadło bowiem także nie w pełni odpowiada rzeczywistości. Powiadają doświadczeni księgarze: „Właściwie to my nie sprzedajemy, ale dajemy książkę. Sprzedaży powinna towarzyszyć zachęta, rozmowa z czytelnikiem, cała otoczka działań, ten szczególny nastrój i ceremoniał, który pozwala wybierać między dobrym a lepszym. Tymczasem niekiedy książkę nam się wydiera z rąk, z polki i spod lady”. Ta sytuacja zwał deprawować nawet starszych pracowników, a adeptów księgarstwa przyzwyczajają się do niej, utrwala się w nich przekonanie, że tak będzie zawsze. Mogą nie wykształcić w sobie tych szczególnych cech, jakie zawsze wyróżniały ten zawód, a przecież jeszcze w tym dziesięcioleciu wzrosła liczba tytułów, nakłady podwoją się i potroją. Przewrotny klient, szczególnie ten, który nie przyjdzie ze z góry przemyślanym zamówieniem, będzie chciał znowu w księgarzu widzieć doradcę i przewodnika. Stowarzyszenie Księgarzy Polskich i starsi pracownicy robią co w ich mocy, aby degradacja zawodu nie czyniła postępów,

księgarzy: gdybyśmy nareszcie zostali zaliczeni do sieci usług podstawowych! W tym środowisku niechętnie słyszą o sobie: sprzedawca, handlowiec, niechętnie posługują się terminem: sklep. Jest to bowiem dla nich placówka kulturalna, księgarnia. I słusznie. Skąd więc ta tęsknota do zrównania? Stąd, że gdyby owo zrównanie nastąpiło, żaden urząd zatwierdzający projekt osiedla, dzielnicy lub też rozbudowy części miasta, nie zaakceptowałby formalnie dzieła projektantów, gdyby oprócz sklepów spożywczych, warsztatów usługowych, apteki, poczty, ośrodka zdrowia, restauracji lub baru, saloników „Ruchu”, filii bibliotek, autorzy nie uwzględnili księgarni.

Państwowe Przedsiębiorstwo „Dom Książki” jest dochodowe, środki na partycypację finansową by się znalazły, nie ma ich jednak komu powierzyć. Powinien je otrzymać do dyspozycji inwestor nowej lub modernizowanej dzielnicy. Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa, która na swoich licznych osiedlach pomieściła wraz z sublokatorami około 50 000 mieszkańców, do niedawna nie posiadała ani jednej księgarni. Dopiero, gdy w osiedlu Mickiewicza w niedużej kłitce nie miały powodzenia mrozonki, ani inne towary, handel odstąpił laskawie ten lokal na księgarnię. Na Kalinowszczyźnie jest ponad 80 placówek handlowych, gastronomicznych, usługowych, ale są tylko dwie jednoizbowe placówki papierniczo-księgarskie, z których jedną należałoby już dawno rozebrać. Równocześnie dwie spośród trzech aptek sąsiadują ze sobą przez ulicę i wleźwić. Próbowano na Lubelszczyźnie, i nie tylko, ratować sytuację, budując pawilony, głównie w mniejszych miastach i gminnych ośrodkach. Panują tam jednak, szczególnie zimą, niehumanitarne warunki do pracy. Obecne próby modernizacji pawilonów są tak kosztowne, jak kiedyś wzniesienie obiektów. Potrzeba więc rozwiązań jednolitych dla całego kraju, włączenie — zarządzeniem centralnym — placówek „Domu Książki” do tzw. sieci podstawowej. Będzie to tańsze, trwałe, zapewni wyższy standard pracy i przechowywania zasobów.

To lokale. A kadra, ta młoda? Jest jej więcej, niż obecnie „DK” może przyjąć. Ministerstwo Kultury i Sztuki proponuje np. zatrudnienie na obszarze Lubelszczyzny 40 absolwentów Liceum Księgarskiego, podobną liczbę wykształciło w tym roku Studium Pomaturalne przy Zespole Szkół Ekonomicznych im.

licealny, pisarz, artysta i urzędnik traktuje księgarza jak partnera. Praca z książką nobilituje, daje przesłanki do wyższej samooceny. Księgarz musi znaleźć czas na czytanie książek, recenzji, esejów, bibliografii i zwykłych notek o pozycjach które wchodzi do sprzedaży.

A czytelnik, jaki w oczach księgarzy jest czytelnik? Wartościowanie jest tu bardzo zróżnicowane. Oczekiwani w księgarni są uczeni, specjaliści różnych dziedzin oraz... dzieci. Tak, one. A nakłady, nawet z klasyki ich obchodzącej, choć preferowane, są wleż zenująco małe. Z dziećmi pracownicy „DK” pragnęliby obcować dłużej niż tę minutę. Kto w dzieciństwie nabył nawyk szukania książki w tej placówce, nie zatracił go w czasie nauki i po uzyskaniu dyplomu. Bywają więzi między czytelnikiem a księgarzem liczące sobie kilka dziesięcioleci. Dawne dzieci przeprowadzają tu swoje. A specjaliści? Moralne jest i usprawiedliwione zarządzeniami zachowanie odpowiedzialnej książki dla profesora i jego asystentów, dla artysty, malarza, historyka sztuki, inżyniera rzadkiej dziedziny. Również biblioteki muszą mieć pierwszeństwo zakupu, bo w nich książka czytana jest wielokrotnie.

Mile widziani są bibliofile, którym książka dostarcza przeżyć estetycznych, nie tylko swoją zawartością, ale i poprzez oprawę plastyczną. Obok nich oczywiście, te tysiące chłonnych czytelników, którzy mają prawo zaspokoić swoje aspiracje kulturalne. Niechcąc zaś budzą jedynie ci, którzy nie dostrzegają w księgozbiorach ich właściwych wartości, a jedynie lokatę kapitału, bądź zaspokojenie snobistycznych ciągów, sposób dekorowania mieszkań. A jest ich wielu. Trafnie kupiona pozycja po latach przysparza więcej zysku, niż oprocentowany kapitał w PKO. Stąd takie powodzenie mają nie dość liczne u nas antykwiariaty.

Przyjdzie taki czas, gdy księgarze nie będą uprawiać polityki sprzedaży i nie będą musieli selekcjonować, wartościować gości, którzy przekroczą, oby coraz obszerniejszy, próg ich placówki?

P.S. Materiał ten został opracowany po wysłuchaniu dyskusji z Konferencji Samorządu Robotniczego PP „Dom Książki” w Lublinie (obejmującego całą Lubelszczyznę), w której m.in. wzięli udział Bronisław Augustynek, Stanisław Bak, Aleksander Bronisz, Longin Cypel, Stanisław Dąbrowski, Maria Grzesiak i Czesław Remesz.

AUTOBUS zawrócił, znikając za rogiem ulicy. Obok kiosku stała czwórka mężczyzn powoli sączących piwo. Spoglądali na obcego przybysza, który trzymał w dłoni klonowe liście. Był bardzo młody, nadzwyczaj wysoki, a ubierał się jak ktoś z miasta — nosił czapkę oraz szare palto, luźno spoczywające na ramionach.

Przeszedł przez rynek i zatrzymał się przed sklepem, który w niedzielę bywał jednak zamknięty. Słyszał kiedyś, że idąc w odwiedziny, wypada zabrać ze sobą butelkę wina. Szkoda, iż tak późno o tym pomyślał. Nie mógł odżałować, że jeszcze w Rydze się nie zaopatrzył.

Chciał już odejść, ale nadeszła jakaś kobieta. Od razu wiedziała, o co chodzi. Poradziła zapukać do drzwi od podwórka. Zamierzał tak zrobić, lecz drzwi właśnie się otworzyły. Z udanym zakupem poczuł się znacznie lepiej i pośpieszył odnaleźć ulicę Polną.

„Z okna widzę wzgórze pokryte lasem. Za nim chowa się słońce — na pewien czas nieruchomieje ponad wierzchołkiem, a potem szybko ginie. Jest w zachodzie słońca coś nieprzemijającego — od tysięcy lat dzieje się wiecznie tak samo” — pisała do niego tymi słowami. Zrozumiał, że ma podać na zachód w stronę góry porośniętej drzewami.

„Ma pan o mnie niewłaściwe wyobrażenie. Zupelnie nie tak wyglądam, jak pan przypuszcza”. Tak oto pisała dziewczyna w jednym z ostatnich listów. W jej odpowiedziach pojawiały się niezwykle napełnione trwogą akcenty.

„Nic podobnego — odpisywał na to — jest pani dobra i miła. Jest pani najwspanialszym człowiekiem na świecie”.

Cóż to będzie za spotkanie! Pomyśleć, że nigdy się jeszcze nie widzieli, choć wspólnymi siłami wzniesli między sobą niezwykły most — bardzo ich cieszyło, że trwał tak mocny i piękny. Ale co jej powie, gdy mu otworzy drzwi? Przede wszystkim powie, oczywiście, dzień dobry!

— Dzień dobry! — rzekł na głos i roześmiał się, bowiem na ulicze nie było ani żywego ducha.

Ulica Polna dziesięć, mieszkania cztery... Czy dokładnie zapamiętał adres?

Było to stare domostwo pokryte szarą dachówką, o ścianach z drewnianych desek. Deski pachniały niedługo zielonym borem, a dziś tu i tam porastał między nimi mech. Dom upodobał się do staruszki, która zarzucając na ramiona szeroką, wełnianą chustę, przysiadła na pniu u podnóża góry i odpoczywała.

Czysto wytarty ganek wiódł do wnętrza, a troje drzwi powykrzywiało się, chroniąc budynek przed smagającymi deszczami. U kogoś grało radio, w czyjejsz kuchni skwierczało mięso na patelni, skąd dobiegał płacz dzieci.

Ale gdzie był ów pokój i dziewczyna przy oknie, wpatrzona w zachód słońca za szerokim grzbietem góry? Zaważał się, nie mając śmiałości na chybił trafiał wchodzić do cudzego mieszkania. Zagadnął małego chłopczyka, lecz ten uciekł, chowając się za węglem szopy. Jakis mężczyzna wychylił głowę przez okno, pytając nieznanego, czy może kogoś poszukuje. No tak! Numer cztery jest na drugim piętrze, a wchodzi się środkowym wejściem.

Widomo, że ona mieszka na drugim piętrze, w każdym liście przecież to podawała. Trochę niezadowolony, iż mówią mu o rzeczach, o których sam wie najlepiej, wszedł na górę po schodach.

Pachniało tu jabłkami. Pokrojone w kawałeczki, nawleczone na nitkę, wisiały w słońcu przy oknie. Na klatce schodowej było zacisznie i ciepło. Być może, sprawiała to słońce, ogrzewając dach i ściany. Na wprost schodów znajdowały się drzwi z niedużą, czarną czwórką na wysokości wzroku.

Zapukał, ale nikt nie otwierał. Oczekawszy chwilę, zastukał trochę głośniej. Drzwi odemknęły tak raptownie i bezszelestnie, że przestraszony odstał o krok. Stała przed nim niska, garbata dziewczyna. Chyba spała, o czym by świadczyło zmięte ubranie i nieuczesane włosy. Podniosła głowę, patrząc na nieproszonego gościa.

— Chciałbym się zobaczyć z Dzintrą Kalniną — wymamrotał, nie zdążywszy ochłonąć.

Dziewczyna coś odpowiedziała, lecz przybysz nie dosłyszał i ponowił zapytanie:

— Czy tu mieszka Dzintra Kalnina? Pracuje jako pielęgniarka w szpitalu.

— Ja jestem Dzintra Kalnina — odezwała się w taki sposób, że mogłoby to znaczyć: Czego pan sobie życzy?

Mała gospodyni mieszkania pod czwórką dokładnie przyjrzała się teraz gościowi, popatrzyła na niego bardziej uważnie i badawczo. Wreszcie przytknęła obie dłonie do policzków, jakby ją nagle zaczęły parzyć. Spytała cicho:

— Pan jest Egil? Egil?

— Tak — odparł zmieszany. — Zgadła pani, jestem Egil.

— Dlaczego pan przyjechał? — zawołała. Dziwnie zabrzmiały te słowa, a dźwięczał w nich raczej nie gniew, lecz jakby żal, że przed chwilą spadło na ziemię i rozbiło się drogocenne naczynie. Dziewczyna momentalnie się jednak opamiętała i uspokoiła.

— Nie rozmawiajmy, stojąc tak w progu... Bardzo proszę, niech pan wejdzie.

Szybko zmieniła ton głosu na suchy i oficjalny, co jeszcze więcej zmieszalo młodego mężczyznę. A może by się pożegnać i odejść? Natychmiast zarzucił tę myśl. Nie, nie po to tutaj przyjechał, żeby stać w drzwiach. Co z tego, że wygląda zupełnie inaczej, niż ją sobie wyobrażał? Przywiódł go do niej dług, nie innego, tylko zaciągnięty dług.

Pokoik był mały i przytulny, a każdy drobiazg przypominał, że troszczy się o niego kobieta. Były też książki — bardzo dużo książek. Na półkach poustawiano małe, gliniane wazoniki, w oknie wiatr rozwiewał białe firanki. Przy jednej ścianie

stała kanapa, a naprzeciwko — niewielki stolik i szafa oraz dwa krzesła. Wszystko lśniło czystością, a tylko w powietrzu unosiła się zaledwie wyczuwalna woń lekarstw. Gospodyni była przecież pielęgniarką, a takim ludziom szpitalne zapachy towarzyszą często w mieszkaniu.

— Proszę zdjąć płaszcz — powiedziała.

Nagle przypomniał sobie o liściach — o najpiękniejszych liściach klonu zebranych na placu koło przystanku autobusowego.

— To dla pani — rzekł. — Ale więcej nic nie mam. Ach, tak, jeszcze to. — Postawił na stół butelkę wina.

— Zbyteczny wydatek — rzekła gospodyni. — Dlaczego pan szasta pieniędzmi?

Wcześniej już udobruchała się i w jej uwadze brzmiała też nuta życzliwości. Flakon z liśćmi ustawiała na małym stoliku, a następnie wyszła, prosząc gościa, by zechciał spocząć i chwilę zaszczekać.

Siadł zatem i czekał. Minał moment zażenowania pierwszym spotkaniem i można było dać upust emocjom. A było ich wiele — skłębionych jak wezbrane na wiosnę wody rzeki. Gospodyni wróciła, przynosząc kieliszki i szklane naczynie

DŁUG

Evalds Vilks

Evalds Vilks to pseudonim Evaldsa Mikelevicza Lačisa. Urodził się w 1923 roku na Łotwie. Debiutował w 1941 r. Był uczestnikiem II wojny światowej — ciężko ranny pod Tallinem.

Evalds Vilks jest autorem szeregu powieści i kilkunastu zbiorów opowiadań. Drukowany tu w skrótach „Dług” pochodzi ze zbioru opowiadań wydanych w Rydze nakładem wydawnictwa Liesma. Utwory Vilksa tłumaczone na szereg języków.

z jabłkami. Poustawiała wszystko na stole i usiadła. W tym momencie odezwał się do niej ciepło i serdecznie:

— Urodziłem się dwukrotnie. Najpierw życie dała mi matka, a po raz drugi — pani.

Cień zakłopotania przemknął po twarzy dziewczyny.

— Nie potrzeba szumnych słów. Dlaczego pan tak mówi?

— Bo to przecież prawda — powiedział żarliwie. — Bardzo poważnie chorowałem. Rodziców i



Rys. E. Ingłot

wszystkich moich najbliższych wypędzono z domów, aby gdzieś w drodze do Niemiec dosięgnął ich zgubny los. Nie miałem na świecie ani jednej bliskiej osoby. Nie, nie pragnąłem umierać, ale zabrakło mi sił do życia. Ogarnęło mnie całkowite zubożenie. Czy wie pani, że w szpitalu zostałem umieszczony w małej salce — znajdowała się taka w naszym oddziale — żebym nie przeszkadzał innym chorym, kiedy... kiedy...

— Tak, wiem o tym.

Siedziała, uważnie mu się przysłuchując. Mimo jej drobnych, dziecięcych rysów zaznaczał się także wyraz twarzy charakterystyczny dla ludzi, którzy niejedno widzieli i sporo przeżyli. Szeroki, wełniany kaftan częściowo tuszował defekt figury, choć nie mógł go ukryć.

Przypuszczał, że wycierpiała w życiu więcej od niego. Uświadamiał sobie, jakim pięknym i spokojnym tchnęło jej mieszkaniem... Wspominał swój dom rodzinny zniszczony przez wojnę...

Milczenie przedłużało się. Młody człowiek starał się opóźnić chwilę spotkania ze wzrokiem dziewczyny. Jej spojrzenie wydawało się spokojne, ale było tak przenikliwe, jak gdyby odczytywała najskrytsze myśli. Ogarnęła go niemal złość, że nie był w stanie spojrzeć jej prosto w oczy. Wydawało mu się, że już zrobił, albo też chciał zrobić coś złego. A kobieta nie przestawała badać go wzrokiem, przesyłała spojrzeniem, i czuł to wyraźnie, mimo że na nią nie patrzył.

— Kto pani o mnie mówił? — był nieco zenerwowany trwającą ciszą i próbował dotrzeć do przerwanej wątku rozmowy.

— Jedną z moich koleżanek... Pracuje w tym samym szpitalu.

— Wie pani... Pewnego razu lekarz powiedział, że przyniesiono mi list, ale nie uwierzyłem. Nie było przecież nikogo, kto by go mógł napisać. Ten list był jednak zaadresowany do mnie. I tak zacząłem czekać na następny. Uporczywie powtarzałem sobie, że jutro znów dostanę list, że list na pewno przyjdzie... I rzeczywiście był. Wydawało się to wręcz niezrozumiałe, w ogóle nie potrafiłem tego pojąć. W pierwszych listach ganiła mnie pani, nazywając tchórzem, człowiekiem bez charakteru...

Poczuł się teraz szczęśliwy, uśmiechnął się i dolał wina.

— Zacząłem odpowiadać na listy. Z początku trudno mi było pisać, ale później szło już znacznie lepiej. Napisałem chyba całą stertę listów.

— Czy pamięta pan ile? — zapytała.

— Nie, dokładnie nie pamiętam, lecz sądzę, że musiało ich być około trzydziestu.

— Trzydzieści cztery — zauważyła.

— Ma pani świetną pamięć.

Nawet do głowy mu nie przyszło, dlaczego tak dobrze zapamiętała ilość listów. A może również dla niej coś one znaczyły? Ośmielony winem, znowu ją opowiadał o szpitalu, o tym jak był leczony, o chorych z tej samej sali, o swoim życiu i zamierzeniach na przyszłość. Nie przerywała mu ani jednym słowem.

— Niech pan śmiało kontynuuj — powiedziała w końcu. — Dobrze to panu idzie.

Spostrzegł jednak, że odwracała głowę i zaczynała wyglądać przez okno. Obudziła w nim kiedyś pragnienie popatrzenia na słońce, jakkolwiek mogłoby mu to wówczas przyjść z wielkim wysiłkiem. Sala szpitalna zwrócona była na wschód i pewnego dnia odczuł żal, nie mogąc spojrzeć na to, co widziała dziewczyna. Odtąd codziennie rano, przytrzymując się krzesła i mozolnie powłócząc nogami, podchodził ku oknu, aby drząc ze wzruszenia, móc oglądać narodziny nowego dnia. Rozczulony do głębi, wspominał wtedy, jak nieznaną mu Dzintra Kalnina pisała o słońcu. Wschód ognistej tarczy ponad widnokreplem wydawał mu się tak niesamowicie piękny, jakby w życiu czegoś podobnego nie widział.

— Dlaczego odpisała pani na mój pierwszy list?

— Dlaczego? — powtórzyła pytanie, przez chwilę jeszcze się zastanawiając. — Nie wiem. Czulałam, że trzeba było panu odpowiedzieć. Miałam nadzieję, że panu pomogą. Sama wiem jak to jest, kiedy się człowiekowi bardzo źle wiedzie.

— Pani jest taka dobra!

— Niech pan tego nie mówi. Proszę wierzyć, że pisanie nie sprawia mi kłopotów. Przyczyniłam się do pańskich listów i zaczynałam wycelkować każdej kolejnej odpowiedzi. Odpisywał pan w równych odstępach czasu i jeśli listu w porę nie przyniesiono, martwiłam się, sądząc, że właśnie teraz coś się stanie...

Wtem zadzwonił przeraźliwie mały budzik — dopiero przed momentem zauważył go na półce z książkami. Wydawało się, że jego dźwięk oznajmiał koniec jednego aktu, a zarazem początek nowej sceny.

— Muszę się zbierać, bo mam dyżur w szpitalu. Ale niech się pan nie martwi, zostało nam jeszcze dość czasu.

Przygaszały odbłaski złocistego nieba. Niepostrzeżenie pociemniało jak przed burzą. W izbie gęstniał mrok. Gość wstał żeby zapalić światło, ale go powstrzymała.

— Nie trzeba... Bardzo pana proszę... Posiedźmy tak chwilę...

Ponownie czuł zwrócone na siebie spojrzenie dziewczyny, lecz tym razem nie wpaadał w zakłopotanie. W ciemności i ciszy łatwiej przychodziło myśleć. Wspominał swój przyjazd, plac targowy wybrukowany polnymi kamieniami, przypadkowo spotkanych ludzi. To już umknęło w czas miniony, a wnet i to spotkanie, ten pokoik i flakon z liśćmi klonu na stole — wszystko to należało już będzie do przeszłości. Choć coś jednak z tego pozostało. Ale co? Nie zdolał uporządkować chaosu zblakowanych myśli i nagle drgnął, gdyż to, co w tej chwili usłyszał, stanowiło dla niego zupełnie zaskoczenie.

— Pan już więcej do mnie nie napisze...

— Z pewnością napiszę! Nie mógłbym inaczej! Dlaczego pani tak źle o mnie sądzi?! — wykrzyknął jak w gorączce.

Pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Nie było widać twarzy dziewczyny, lecz prawdopodobnie znów odwróciła się w stronę okna. A ciemności potwierdzały jej prawo do milczenia.

Z łotewskiego przełożył:
Jerzy Wieluński

NIEDALEKO Lublina, we wsi Gardzienice, od dwóch lat ma swoją siedzibę „Ośrodek Praktyk Teatralnych — Stowarzyszenie Gardzienice”. Metodę pracy zespołu można najogólniej nazwać doświadczenia, wynikająca z czynnego myślenia, które musi nieustannie konfrontować się z oporem materialnym, zaś terenem poszukiwań jest środowisko wiejskie. Kierownik artystyczny „Gardzienic”, Włodzimierz Staniewski, tak w skrócie sprecyzował pojęcie kontaktu z „nowym naturalnym środowiskiem teatru”, nawiązując do obecnej praktyki teatralnej swego zespołu:

„Po pierwsze — odwoływanie się do ludzi (widzów, odbiorców) nie skażonych rutyną zachowań, nie skażonych wyczynem, wymodelowanym sposobem odbioru i szablonową skalą ocen. Po drugie — wyjście w przestrzeń teatrowi nie znaną lub zaniedbaną przez teatr”.

Przynajmniej raz w miesiącu, a w lecie częściej, zespół wyrusza na wyprawę, w której oprócz członków teatru biorą również udział osoby zaproszone. Każda wyprawa składa się ze stałych części.

Orszak

Uczestnicy wyprawy idą polnymi, leśnymi i wiejskimi drogami, ciągnąc za sobą wózek, załadowany najbardziej niezbędnym sprzętem, potrzebnym do życia i do przedstawień. Grupowe zmagania się z materialnym oporem środowiska wytwarza szczególny rodzaj więzi między wędrownikami i jednocześnie między nimi a pokonywaną przestrzenią, udostępniając współczesnemu człowiekowi świat elementarnych odczuć, zagubiony w naszej codzienności. Bezinteresowny kontakt z materią jest swoistego rodzaju terapią, odnawiającą ludzkie odczuwanie materii. Jak zauważył Tomasz Mann w „Czarodziejskiej górze” — „Przestrzeń podobnie jak czas przynosi zapomnienie, ale czyni to przerywając dotychczasowe stosunki człowieka z jego otoczeniem, przenosząc go w stan pierwotnej wolności i czyniąc w mgnieniu oka nawet z pedanta i osiadłego mieszczucha coś w rodzaju włóczęgi”.

Zespół z Gardzienic poszukuje krajobrazów, których zmienność jest uzależniona przede wszystkim od praw przyrody. Nie chodzi mu o znajdowanie środowisk nieskażonych ręką człowieka, bo takich już nie ma, ale o przestrzeń, która została potraktowana przez człowieka z miłością; ze zrozumieniem. Tak więc wędrowanie posiada swój kierunek i wektor, chociaż o jego współrzędnych można mówić dopiero po przebytej drodze.

Kompozycje teatralne

Kiedy orszak wchodzi do wsi, staje się kompozycją teatralną, gdyż jest to już świadome działanie, oglądane przez mieszkańców wioski. Dostępnym wyglądem aktorów, ich wyraźne zmęczenie, brak jakichkolwiek rekwizytów znamionujących ekspansywną kulturę miasta, pobrzmiwająca muzyka i dziwny wózek wywołują u ludzi zaciekawienie, podziw i nieufność. Każdy, kto chce, może przyjrzeć się z bliska przybyłom, porozmawiać z nimi i nigdy nie zostanie odepchnięty. Jednym z głównych celów pracy zespołu jest stwarzanie sytuacji, w których może zaistnieć wymiana wartości między dwoma odrębnymi kulturami — miejską i wiejską. Jak twierdzi Staniewski, nawet w sytuacji, kiedy obydwie strony czują w stosunku do siebie obcość, można dojść do porozumienia na zasadzie przekazanej chęci tolerancji i uczciwych pobudek działania: „wystarczy coś uczciwie zrobić, żeby uczciwość została odczytana przez ludzi uczciwych”.

Po przybyciu na miejsce postoju część zespołu zajmuje się zagospodarowaniem, pozostali idą zapraszać ludzi na przedstawienie oraz odszukiwać i

nagrywać śpiewaków, grajków, gawędziarzy, pamiętających jeszcze stare oorzy, pieśni, baśnie.

Zgromadzenie wieczorne

Zwykle zaczyna się o zmierzchu, który zaciera różnice i zamazuje ostrość zbyt wyraźnych szczegółów dnia, jednoczy ludzi na chwilę przed oddzielającą ich ciemnością. Ow stan przejścia, spokojnej refleksji po tym, co było i niepokoju przed odmiennym jest naturalnym, zgodnym z przyrodą stanem przygotowania przed mającą nastąpić zmianą.

W swojej pracy zespół z Gardzienic stara się osłabić działanie przypadku, wędrując do wsi położonych z daleka od miast, gdzie szansa spotkania ludzi, dla których kultura ludowa jest jeszcze ich żywą częścią, bywa większa. Zgromadzenie wieczorne przy aktywnym udziale ludzi starych, pamiętających tradycyjne pieśni ludowe, staje się sytuacją wymiany wartości kulturowych. Prowadzący spotkanie przez cały czas podkreśla to wzajemne dawanie i przy każdej piosence śpiewanej przez zespół przekazywana jest informacja, gdzie i od kogo jej się nauczyli.

W pewnym momencie, gdy chęć ludzi do wspólnej zabawy osiąga punkt na tyle wyraźny, że staje się wyczuwalna przez obydwie strony, pada zapowiedź spektaklu.

Spektakl wieczorny

Aktorzy zmienili swoje codzienne ubrania na stroje teatralne, zapalili się znicze, dzielące przestrzeń na scenę i widownię; w takt muzyki, rozchylając białe płótno, wtoczył się wózek, popychany przez dwóch aktorów. Spektakl wieczorny się rozpoczął.

Ci sami ludzie, którzy przed chwilą śpiewali, rozmawiali, grali na instrumentach, byli tuż obok, jak w życiu, nagle oddalili się i coś odgrywają. Pomimo wyraźnego wyodrębnienia się formą teatralną przedstawienie powstaje na bazie dotychczasowego obcowania z ludźmi, zaciera granice między życiem a grą. Kontrasty i przeciwstawności, będące osią kompozycyjną spektaklu, wytwarzają ów szczególny nastrój niepewności, zawieszania, niedowierzania. Niepewność widza nie pozwala mu na zajęcie jasnego i zdecydowanego stanowiska, wyzwala w nim niepokój i chęć poznania zjawiska, które nie daje się ująć w ramy jakiegos znanego mu porządku.

Włodzimierz Staniewski mówi, że „spektakl jest funkcją i świadectwem tego, jak żyjemy, ale jest to spektakl, a nie życie. Ludzie często odbierają to jako prawdę — oni śpiewają, gimnastykują się, jedzą, palą ogień (tak mówią o nas na wsi), i nagle te zwyczajne czynności przechodzą w dynamiczny strumień działań, w innym wymiarze, ale jakby ten sam. I wtedy widzowie zadają sobie pytanie: czy to jeszcze naprawdę, czy to już na niby? Jeśli przyjmują to za prawdę, to się obarczają, gdyż czują się partnerami gry. Nie wartościują w ten sposób spektaklu, manifestują tylko niepełną jasność działań”.

Za każdym razem przedstawienie jest inne, gdyż wtapia się w inną przestrzeń i oddziałuje na innych ludzi. Miejsce spektaklu, tak dobrze znane i oswojone przez mieszkańców wsi, nagle ożywa za sprawą przedmiotów i ludzi nie tyle obcych, bo obcy jest każdy człowiek z innego kręgu kultury, co dziwnych i niespotykanych. Z ust aktorów płyną słowa raz wzniosłe i poetyckie, to znów wulgarnie i sprośne, ale ich znaczenie umyka, przytłoczone ekspresją wypowiedzi, towarzyszącą muzyką i rozdręganym ruchem ciała. Niesłychaną ruchliwość aktorów podkreśla naturalne światło ognia, okrążającego scenę. Płomienie jednocześnie oddzielają i łączą wizualnie publiczność i aktorów. Gwałtowne tempo pojawiania się poszczególnych obrazów symbolicznych, niejednokrotnie skontrastowanych ze sobą, daje wrażenie zwartej całości, której nie łączy logika fabuły, ale nadrzędne ludowo-karnawałowe widzenie świata, mające dużo wspólnego z bezpośrednim odczuwaniem cielesności świata.

W spektaklu owa cielesność wyraża się w konkretności rekwizytów i aktorów, którzy nie naśladowują nikogo, tylko wyrażają siebie. Konkretność zdarzeń teatralnych nie oznacza oczywiście ich zwyczajności, przeciwnie — niezwykłość polega na tym, że sytuacje najbardziej niewyobrażalne są jednocześnie bardzo konkretne.

Dotychczasowe próby podejmowane przez twórców teatralnych ujawnienia i zaktywizowania anonimowego i biernego widza utwierdziły tylko obydwie strony we wzajemnym poczuciu obcości, wynikającym z zasadniczej w tej sytuacji przeciwstawności spełnianych funkcji: aktor — oglądany, widz — oglądający. Jak dowodzi praktyka teatralna ostatnich lat, zniesienie tego podziału ról, na trwale zapisanego w kulturze, jest prawie niemożliwe. W poszukiwaniu bardziej autentycznego kontaktu z drugim człowiekiem niektórzy twórcy opuścili teatr, jeżeli nie całkowicie, to przynajmniej w takiej formie, w jakiej istnieje on obecnie. Jednym z nich jest Włodzimierz Staniewski, który pracował najpierw w krakowskim Teatrze „Stu”, następnie w Teatrze „Laboratorium” Jerzego Grotowskiego, a od 1975 roku próbuje odnaleźć własne metody twórczości teatralnej, dając w kierunku teatru codziennego trud obcowania z ludźmi i przestrzenią na wsi. Spotkania, których organizacja pochłania dużo wysiłku, sprawiają, że publiczność teatru z Gardzienic nie jest anonimowa, sprawiają również to, że aktor nie jest tylko traktowany jako ucieleśnienie pewnej roli, jaką na siebie przyjmuje z racji wykonywanego zawodu. Jeśli przedstawienie oburza i gorzy poprzez swoją niezwykłość, to jest ono przyjmowane ze względu na jego twórców, którzy wcześniej zostali zaakceptowani jako ludzie. Włodzimierz Staniewski określił ten proces w zdaniu: „ludzie zapamiętują naszą obecność, a nie przedstawienie, gdyż jest to nasza forma obecności w życiu”.

Czym jest wyprawa dla grupy ludzi

z Gardzienic? Tak o niej mówi Staniewski:

„Wyprawa jest pewnego rodzaju aktywnością, jest osnową i metaforą życia, a życie jest również wyprawą. Zajmujemy się teatrem niestacjonarnym, który musi wejść w nową przestrzeń i przyjąć wszystko, co jest dopustem tej przestrzeni. Wyprawa odkrywa wiele pól działań — teatr jest tylko jednym z nich, aczkolwiek naczelnym. Jeśli chce się szukać nowej przyrody teatru, jak to nazywa prof. Gusiew, nowej poetyki, nie można stylizować, trzeba ponieść ryzyko klęski, stawiać czoła dotkliwym okolicznościom”.

Działania teatralne zespołu, bezpośrednio i namacalnie związane ze środowiskiem, w którym powstają, wpływają za sposobu myślenia członków „Gardzienic”, o życiu, postrzeganiem przez nich jako niepodzielna jedność, będąca według Michaiła Bachtina wyrazem „karnawałowego światopoglądu, w którym stapia się na moment w jedno to, co idealno-utopijne, z tym, co realne”. Pojęcie karnawału, zaczerpnięte z książki Bachtina „Twórczość Franciszka Rabelais”, jest jednym z istotnych elementów myślenia o życiu i teatrze grupy z Gardzienic, gdyż czas karnawału nie zna podziału i hierarchii, jednoczy ludzi w powszechnym odczuwaniu świata. „Karnawał ma charakter powszechny, odbija ów szczególny stan całego świata, jego odrodzenie i odnowienie, które jest udziałem wszystkich”. To dążenie do współodczuwania, wydaje mi się, jest wynikiem chęci rekompensacji sztucznych podziałów naszej cywilizacji na pracę i odpoczynek, na naukę i zabawę, na ciało i ducha itp. Jedną z tych części przeważnie kojarzy nam się z koniecznością i zniewoleniem, drugą ze swobodą i wolnością, w zależności od sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Taki światopogląd prowadzi nieuchronnie do ciągłego poczucia niepełności form bycia i do przekonania, że gdzieś tam, ale nigdy tu i teraz, istnieje życie pełniejsze i lepsze.



Fot. CAF

Jan Kowalczyk, zdobywca złotego medalu na moskiewskiej olimpiadzie, został już przedstawiony w telewizji i prasie. Mniej wiadomo o jego koniu, jedenastoletnim angloarabie ARTEMORZE, który pochodzi ze stadniny w Janowie Podlaskim (od trzech lat opiekuje się nim WKS „Legia”). Poprzez swoją matkę, klacz angloarabską ARTEMIDĘ, ARTEMORZĘ posiada wspaniałe pokrewieństwo. Do owych paranteli należą: WIELKI SZLEM, jeden z głównych „odnowicieli” hodowli arabskiej czystej krwi w Polsce po roku 1945; OFIR, najlepszy ogier arabski wyhodowany w Polsce międzywojennej; KUHAJLAN HAIFI, znakomity koń sprowadzony z Arabii w roku 1931 na zlecenie księcia Romana Sanguszkii.

(p)

...dziś błaznuje

WCZORAJ dostalem list od Marty. Nareszcie zapowiedziała swój przyjazd. Od roku nosila się z zamiarem spędzenia urlopu w Kazimierzu. Znalazła miasteczko jełopu i opowiadała przyjaciół, księżek i mojej korespondencji.

Dało zresztą nachwiliłem się tym królewskim grodem w pierwszych dnach naszego poznania, na praktyce w PGR. Bajalem jej o królu Kazimierzu, który lochami chadzał do swej ukochanej Estery, mieszkającej w bohotnickim zamku. Mówiłem o „Arkadii” — willi Niemojewskich wokół której szeroko rozciągała się zielen, przybrana różnokolorowymi kwiatami. Tutaj zacząłem pobierać nauki pod kierunkiem nieodżałowanej pani Koziańskiej. Opowiadałem o teatrze na barce, gdzie obejrzałem pierwszą w życiu sztukę, o mistrzu Kononowiczu, któremu ucierałem farby, a matka cerowała marynarki. Opowiadałem o Kazimierzu mojej młodości, nie zaśmieconym jeszcze chaotycznym budownictwem ostatnich lat. Jako że mój dziadek prowadził drobne stolarskie remonty w kościele farnym, pobudowanym przez króla, powoływałem się na królewskie pochodzenie, co wzbudzało jednak ironiczne uśmiechy Marty.

Zbliżał się czas przyjazdu autobusu. Na przystanku przybywało ludzi, a nad miastem niespodziewanie zawisła ciemna chmura. Lwnęto; skryliśmy się pod daszek stylizowanego, pod koniec lat czterdziestych dworca.

Wjechał autobus. Wysiadła Marta. Plan pokazania jej Kazimierza pokrzyżowała pogoda, należało przeczekać deszcz...

O strony Rynku biegnę czterech kompletnie zmoczonych i dość dobrze zalanych małolatków. — Nonio swędzi — wybelkotał jeden z nich do

podstarzalego pana, krytycznie obserwującego grupkę.

Drugi z „wesołej czwórki” podszedł do młodej pary ubranej w sztruksy i zaśpiewał na melodię krakowiaka:

Miastowymi orać,
Letnikami włóczyć,
żeby s.....
roboty nauczyć!

— Nauka chińska zna takie przypadki — skomentował młodzian stojący obok nas.

— Panie — zagadnął podstarzały pan. — Dawniej to ludzie pili raz na tydzień, w niedzielę, czterdziestkę na dwóch. Dzisiaj piją osiem razy w tygodniu.

— Dlaczego? — zapytałem. — Przecież tydzień ma siedem dni.

— Tak, ale w niedziele piją podwójnie. — Naczelnik miasta z kajetem obchodzi knajpy, porządek sprawdza, do przestrzegania uszawy alkoholowej nawołuje, wnioski do kolegium pisze. Ale cóż sam może zrobić? A teraz, panie, ludzie mądrzejsi niż ustawa przewiduje. Istnieje wielka chęć w narodzie do życia w luksusie, za wszelką cenę. Podają wódkę „skolko godno”, upije się delikwent to i podwójnie zapłaci. Wytłumaczyć się można łatwo: „Ten człowiek w naszym zakładzie się nie upił, on tu przyszedł pijany”. Panie, w samym centrum Kazimierza jest osiem punktów sprzedaży piwa! Przed wojną tego nie było, bo i tych pieniędzy ludzie nie mieli. W restauracjach porządek panował, do „Berensa”, do kasyna nad Wisłą czy do Frankowskiej młodzież upijać się nie przychodziła.

— Może pan zapali? — zwróciłem się z paczką „Klubowych” do miłośnika dżonowych czasów.

— Nie, dziękuję... Panie, młodzież dawniej u-

niała się bawić, dziś błaznuje. Przed wojną w kamienicy Celejowskiej była świetlica, w której odbywały się zabawy, śpiewał chór prowadzony przez pana Dziuranowskiego, nauczyciela szkoły powszechnej. Przy organizacji „Wici”, działającej pod kierunkiem pań: Grochowskiej, Jerzowskiej i Tomczykowej, istniał „Teatr Grecki”, produkujący się u Filipkowskich przy ulicy Nadzecznej. U Pałczyńskich przy Puławskiej występowały amatorskie teatry ukraińskie. Panie, dzisiaj wszystko się zmieniło, nawet dzwony inaczej biją, kościelny ciągnie za sznury, jakby Boga w sercu nie miał...

Przestało padać. Z miłą Martą wszedłem do baru „Pod Samowarem” przy Lubelskiej. Ruchliwa i gadatliwa właścicielka polecała kilka potraw z międzynarodowymi przystawkami. Zdecydowaliśmy się na schabowy po polsku i herbatę po rosyjsku. Podawała pani Hania — z dziwnym smutkiem w oczach, jakby straciła ukochanego. Ostatecznie schabowy zjedliśmy po polsku, herbatę wypiliśmy po polsku, natomiast rachunek wyniósł po chińsku.

Przed zakładem czekał przepiękny chart afgański. Marta twierdziła, że czeka on po polsku, mnie wydawało się, że po węgiersku. Weszliśmy na tynk oblepiony malunkami młodych artystów.

Przy kamienicy Gdańskiej oflepił nas pejzaż rozpostarty na płótnach „mistrza” Wojtkowiaka. I zaraz przypomniał mi się pałac króla Midasa. W muzeum obok SARP-u mistrz Siniński zawiesił na płótnach swoją rozpacz nad losem człowieka...

Znowu nad miastem zbierają się chmury. Ktęś mówi, że w piwnicach kamienicy Celejowskiej przybywa wody. Ogłoszone stan przeciwpowodziowy.

Jedynie św. Krzysztof stoi spokojnie na swojej kamienicy, jakby od wieków nie się tu nie działo.

W oczach Marty nie widzę zadowolenia z spotkania z Kazimierzem.

Stanisław Sterlus

POCZTA literacka



Tomasz M. Warszawa. Jesień, cisza, lzy, rozstania: na tym straszliwie wyeksploatowanym i jalowym poletku nie zakwitnie już żaden kwiat poezji. Używam świadomie przenośni odpowiadającej Panu — wszystkie te wiersze utrzymują się w tonacji szambuchowej. I byłoby pół biedy, gdyby wyszły spod pióra Pańskiej rówieśniczki, bo sentymentalizmu dwudziestolennych pańnek nigdy nie zabraknie. Ale Pan? Dwudziestolenie chłopisko piszące o łzach, o „chmurach łabędzi pod chmurą puchową”, „z płaczem po kątach się kryjąc”...

Zdzisław P. Lubycza Królewska. „Niedawno debiutowałem i moja poezja spotkała się z aplauzem licznie zgromadzonej publiczności”. Jeżeli tak było naprawdę, to wypada jedynie gratulować, a może i zazdrościć — nie często zdarza się, aby debiut stał się takim triumfem. Aplauz licznie zgromadzonej publiczności. Ale... gdzie to się działo? Kim była ta licznie zgromadzona publiczność? Mając 16 lat, trzeba pomalutku nabierać trochę rezerwy wobec aplauzu, a także krytycyzmu wobec samego siebie, albowiem prawda jest taka, iż wiersze są do niczego. Jedyne, do czego na razie zachęcam, to do lektur, choćby szkolnych.

Bożena(?)

Przyjdź — czekam na ciebie
Przyjdź — bo w tobie szansa
Przyjdź — przy tobie ciepło
Przyjdź — tak jak do Gravesa (Grejwsa)

Nie rozumiem, dlaczego ten wiersz wysłała Pani do „Kamery”, a nie do tego, który jest adresem tych płomiennych wezwań. Niepotrzebnie również informuje Pani, jak wymawia się Graves. I w końcu — po jakie licho misza Pani to świetne nazwisko ze sprawą, w której Graves w niczym nie pomoże?

H.P.

EKRAN I WIDZ

Włosy jako sztandar

GDY w 1969 r. przyjechałem po raz pierwszy do Londynu, objawił mi się on nie jako miasto gentlemanów w czarnych melonikach, lecz jako jedno z głównych światowych skupisk młodzieży kontestującej. Hippisi przenikali do samego serca Londynu; dźwięki ich gitar i zawołanie fajarek rozbrzmiewały mocnym akcentem w samochodowo-neonowym zgłębku Piccadilly Circus, płyty z piosenkami Boba Dylana, Joan Baez, nagraniami amerykańskiego zespołu „The Grateful Dead („Wdzięczny Nieboszczyk”) sprzedawano w setkach tysięcy egzemplarzy. W centrum West Endu, w Shaftesbury Theatre, szedł pierwszy sezon: amerykański musical Gerome Ragni, Jamesa Rado i Galta MacDermota — „Hair”; fascynujący i skandalizujący.

„Hair” zyskał już kolosalne powodzenie dwa lata wcześniej na Broadwayu, teraz właśnie podbijał Zachodnią Europę. „Hair” znaczy po polsku

„włosy”. To przecież właśnie z włosów utkali wówczas sobie sztandar kontestacji młodzi obywatele Stanów Zjednoczonych: długie włosy puszczone luźno na ramiona, noszone zarówno przez dziewczęta jak i przez chłopów, były symbolem walki z establishmentem, z „brudną wojną” w Wietnamie, z podziałami rasowymi i społecznymi. Długie włosy symbolizowały nową obyczajowość, nowy styl życia oraz nową... modę. Filozofia łagodności, przeciwstawianie się przemocy i gwałtowi, fascynacja muzyką, ucieczka od współczesnej technicznej cywilizacji na łono natury, ale także w świat... narkotycznych wizji, oto co charakteryzowało ten spontaniczny ruch młodzieży w wielu krajach świata.

Musical „Hair” mówił właśnie o tym wszystkim. Przeciwwstawiał pasywną postawę młodego amerykańskiego chłopaka (który dał się zmarnie „patriotycznym” ideałom i stawiłszy się przed komisją poborową, ginął ostatecznie na polach Wietnamu), postawie „aktywnej” jego rówieśnika-hippisa, który wybrał kontestację, a co za tym idzie — życie. To był problem naczelnym musicalu. Fascynowały przecież „Włosy” w równym stopniu kapitalną muzyką, faktem pokazania na scenie, po raz pierwszy, młodzieżowej amerykańskiej subkultury, szokowały wreszcie... nagością.

W dwanaście lat po teatralnej prapremierze „Hair” w niewielkim nowojorskim Public Theatre, przeniosł go na ekran twórca „Miłości blondynki” i „Lotu nad kukuleczym gniazdem” — Milos Forman.

Trzeba było Formanowi szereg lat przeżyć w Stanach Zjednoczonych, zrobić kilka filmów o tamtejszej społeczności, dobrze zrozumieć kraj, jego kulturę i ludzi w nim mieszkających, aby móc dokonać tego, co teraz: nakręcić bardzo amerykański „Hair”, ale wzbogacony o spojrzenie Europejczyka; intelektualnie i filozoficznie pogłębiony, z jego problemami rozpatrywanymi przez reżysera z pewnego dystansu czasowego i politycznego.

Forman przepracował dość radykalnie pierwotny scenariusz, kładąc jeszcze większy akcent na sprawy wojny, podkreślając, że jednostka działająca w próżni politycznej bardzo niewiele ma wpływu na wydarzenia na świecie, zredukował do minimum wątek „narkotykowy” i prawie wyeliminował nagość. Zachwyca w „Hair” (przeniesionym w Formanowski ujęciu całkowicie w plener, głównie nowojorski) nie tylko maestria aktorów, piosenkarzy i tancerzy, nie tylko muzyka, scenografia, świetne zdjęcia Mirosława Ondriceka i kapitalny, dynamiczny montaż, ale także fakt, że film Formana znalazł sobie miejsce w dzisiejszych czasach. Bo choć ruch hippisów dawno się skończył, nie ma już wojny w Wietnamie a i młodzież dzisiejsza jest zupełnie inna, „Hair” jawi się niespodzianie jako film... historyczny. Tak! Pierwszy musical, który oddaje w sposób tak sugestywny i tak prawdziwy, nastroje, niepokoję, obyczajowość, problemy oraz koloryt jeszcze niedawnej, ale już jednak minionej epoki. Zresztą pójďte sami, popatrzcie, posłuchajcie i przekonajcie się!

M.D.

KRONIKA

oto delegacja UMCS na XV Międzynarodowy Kongres Nauk Historycznych, który odbył się w Bukareszcie między 10 a 17 sierpnia.

■ Załogi Zjednoczenia Budownictwa Przemysłowego „Wschód” w Lublinie rozpoczynają prace przy budowie elektrowni atomowej w Związku Radzieckim, jako jeden z trzech generalnych wykonawców robót budowlano-montażowych o wartości około 100 mln. rubli.

■ Belgijski chór mieszany „Cecilia” istnieje od roku 1970 w miasteczku Bree, liczy 55 osób, w repertuarze posiada 120 utworów (w tym tylko dwa polskie), a dyryguje nim Chris Houben, z zawodu geodeta. Zaproszony z rewią przez orkiestrę kameralną UMCS „Kamerata”, chór belgijski wystąpił m. in. w Nałęczowie, zbierając dowody uznania dla swej sprawności wokalne.

■ Pod jesienne siewy rolnictwo lubelskie otrzyma od Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych o 30 proc. mniej nawozów mineralnych niż w podobnym okresie minionego roku. Najwyższy spadek zaopatrzenia nastąpi w grupie nawozów azotowych, czyli takich, jakie produkują wielkie zakłady w Puławach (woj. lubelskie).

■ Doc. dr Jan Gurba, doc. dr Zygmunt Mańkowski, prof. dr Józef Szymański, dr Mieczysław Wieliczko —

na nadeszło 12 (sześć następnym w drodze) nowych trolejbusów produkcji radzieckiej. Nęka nas tylko pytanie: czy równocześnie zostanie wycofana taka sama liczba starych, sfałgowanych wozów marki „Skoda”?

■ Do niektórych mieszkań „szczytowych” ostatniej klatki bloku nr 14 przy ul. Rzeckiego (osiedle im. Prusa LSM) od ponad trzech lat przecieka woda deszczowa, zalewając ściany pokoi, kuchni i łazienek. Zalewanie... tworów w ścianie szczytowej, impregnowanie jej jakimś brązowo-żółtym światłem nie daje żadnych oczekiwanych efektów, a kiedy lokatorzy wskazują, że ścianę należałoby pokryć blachą, jak to zrobiono w budynkach sąsiedniego osiedla, słyszą w odpowiedzi: za droga operacja! Owszem, to skandaliczne partactwo jest dziełem lubelskich budowlanych, ale gospodarzem bloku jest w końcu LSM, konkretnie: administracja osiedla i ona odpowiada za zapewnienie lokatorom normalnych warunków mieszkaniowych. Ciekawi nas przy tym, czy lokatorzy tych kalekich mieszkań płacą czynsz w pełnej wysokości?

■ „Wrócił Morajne, wróciło szczęście do Lublina” — ogłaszał po wojnie właściciel sklepiel z losami loterii pieniężnej. Obecnie możemy mówić o innym szczęściu: oto do Lubli-

TAJEMNICE LUDZKIEJ NATURY (3)

Magia

Aleksander Mora

ZA najlepsze kondensatory siły magicznej uznawano liczby oraz litery. Liczba w początkach kultury budziła wielką, niemal religijną cześć. Ukryte własności liczb zaprzętały umysł Pitagorasa, Platona, filozofów aleksandryjskich, ojców Kościoła (jak św. Augustyn), kabalistów i mistyków (jak Jakub Bohme i St. Martin). Przy pomocy liczby umysł ludzki wyobrażał sobie bóstwo i nieskończoność, mierzył i mierzy nadal bieg czasu i ruchy ciał niebieskich.

Znajomość magicznego znaczenia liczb i ich nadnaturalnych własności stanowi jedną z podstaw magii. Jedynka — to bóstwo lub słońce. Dwójka odpowiada albo Księżycowi, albo dwóm złym planetom: Saturnowi i Marsowi. Trójka — odpowiada szczęśliwym planetom: Jowiszowi, Wenerze i Słońcu. Czwórka symbolizuje Słońce, bo cztery są pory roku itd. Nie tylko jednak przypisywanie liczbom znaczeń magicznych lub pojęć kabalistycznych, astrologicznych czy astronomicznych miało tu znaczenie, lecz przede wszystkim to, że narody starożytne używały liter swego alfabetu dla wyrażenia cyfr. Łatwo więc było magom i czarownikom odczytywać „wartości liczbowe” liter rozmaitych słów i po dodaniu ich rozstrzygać, czy dane słowo jest „dobre” czy „złe”. Żydowski kabalista twierdził na przykład, że litery imienia anioła Metatrona i Shaddai (jedno z imion boskich) dają po dodaniu sumę 314. Nabrali więc przekonania, że jedno imię symbolizuje drugie.

Zestawiając umiejętnie liczby, można tworzyć kwadraty magiczne, którymi i dzisiaj bawią się ludzie, dodając wartości liczbowe liter jakiegoś imienia, po czym mówią zainteresowanym, czy suma jest szczęśliwa, czy nie. Tych kwadratów jest sporo. Oto dla przykładu jeden z nich, zwany kwadratem Saturna:

4	9	2
3	5	7
8	1	6

W jakimkolwiek kierunku: poziomym, pionowym czy po przekątnej zsumujemy trzy cyfry, zawsze otrzymamy 15.

Tradycyjny kult liczby, przekonanie o jej tajemniczej, wewnętrznej mocy — utrzymały się po dziś dzień. I dzisiaj żyje jeszcze magia liczb, i dzisiaj znamy „szczęśliwe” (3, 7) i „nieszczęśliwe” liczby (13).

Figurom geometrycznym przysługuje w magii również moc tajemna, dlatego znaki i symbole geometryczne odgrywały dużą rolę w praktykach czarodziejskich.

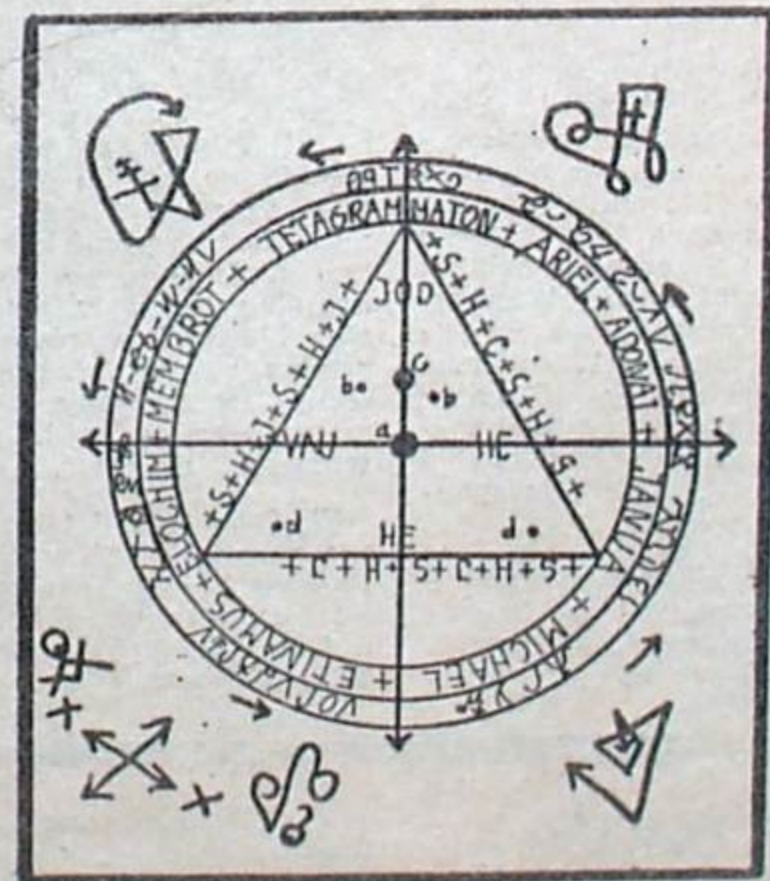


Talisman zapewniający bezpieczeństwo w czasie walki lub wojny. Winien być wykonany z miedzi, srebra lub złota. Aby był w pełni skuteczny, należało go wykonać w dniu 22 października.



Talisman zapewniający powodzenie w operacjach handlowych. Wykonać go należało w grudniu, z miedzi, srebra lub złota.

Koło jest najdoskonalszą figurą. Zakreśla je mag i staje w środku, gdy zaklina duchy, tworząc dookoła siebie magiczny mur ochronny przed wrogimi mu mieszkańcami astralu.



Koło służące do wywoływania duchów. Rysuje się je kredą na podłodze lub ołówkiem na papierze, albo najlepiej piórkiem na pergaminie. Długość boku trójkąta wewnętrznego wynosi 95 cm. Pozostałe wymiary dostosowane są do tej wielkości. Grubość poszczególnych linii wynosić winna 1 cm. Kolejność rysowania jest następująca: najpierw trójkąt, następnie skrzyżowane linie przechodzące przez środek, po czym koło zamykające trójkąt. W odległości 10 cm od tego koła rysujemy drugie, a następnie trzecie w tej samej odległości od drugiego. Gdy rysunek jest gotów, wpisuje się w kierunku oznaczonym strzałkami przedstawione powyżej słowa i znaki.

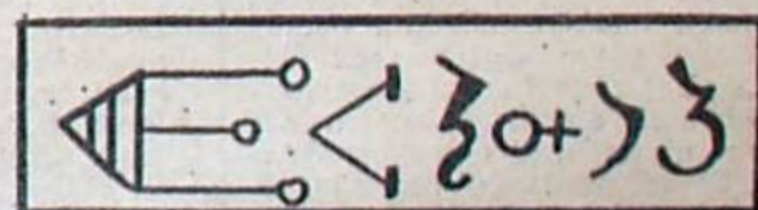
Potężnymi zbiornikami sił astralnych są także pentakle. Magia ewokacyjna zna ich wiele. Największą sławą cieszą się pentagram i heksagram, które i dzisiaj służą często za emblematy zrzeszeniom zarówno okultystycznym, jak politycznym, widnieją nie tylko na amuletach, lecz także stanowią godła państwowe, organizacyjne itp.

Pentagram jest gwiazdą pięcioramienną. Symbolizuje człowieka, który stoi z rozłożonymi rękami, dążącego wzwyż. Jeśli jednak odwrócimy pentagram ostrzem w dół, oznacza on wówczas upadek, jest złowrogim znakiem magicznym i podobno ściąga zle duchy.



Pentagram służący do wywoływania duchów potęgi, ciemności i piekiel. Wykonywano go przez wyrysowanie na papierze, pergaminie lub najlepiej na kozłej skórze, czarnym tuszem.

Największą moc posiada jednak rzekomo heksagram, gwiazda sześcioramienna, zwana także „pieczęcią Salomona”. Tym znakiem posługiwały się szczególnie magia arabska i żydowska.



Talisman miłości. Według zasad magii, powinien być wykonany z miedzi i posiadać na jednej stronie wyryte wzory (przedstawione na rysunku), zaś na stronie odwrotnej napis „Jehova de Nona”. Talisman nosić należało na szyi, zawieszony na sznurku lub łańcuszku, w który zalecano wpleść nitkę pochodzącą z ubioru osoby pożądanego. Talisman miał zapewnić w ciągu miesiąca spełnienie miłosnych pragnień.

(C. d. n.)

Jerzy Leszczyński

FRASZKI

Pierwsza ofiara

Pierwsza nowej miotły ofiara — to nie śmieci lecz miotła stara.

Perfidny mąż

— Cała przyjemność po mojej stronie — rzeki, odbierając przyjemność żonie.

Nie wszystko...

Nie wszystko w rękę Boga skoro diabli człowieka nieraz biorą.

Ruiny

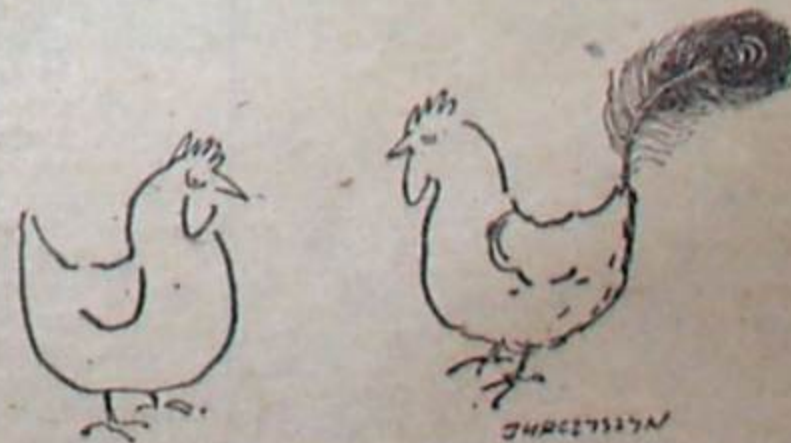
Niejedna ruina od ruiny zaczyna.

Głowy

Są głowy, na które cień rzucają laury.

Warunek

Wiele by można zmienić na lepsze, gdyby nie zmieniać na pierwsze lepsze.



Rys. J. Jurczyszyn